Nr. 17. Poznań, dnia 24 kwietnia 1910 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Walka w przemyśle budowlanym.



Już od listopada zeszłego roku toczyły się pomiędzy organizacyą pracodawców w przemyśle budowlanym, a organizacyami pracobiorców w tej gałęzi przemysłu zatrudnionych układy w sprawie zaprowadzenia nowej taryfy.

Układy te nie powiodły do pokojowego załatwienia sprawy i skończyły się na tem, że związek pracodawców, na ostatniem zebraniu w Dreźnie powziął jednostronną uchwałę w sprawie taryfy, oświadczając równocześnie, że z dniem 15 kwietnia rozpocznie lokaut, jeżeli pracobiorcy się uchwałom związku pracodawców nie poddadzą.

Ponieważ pracobiorcy na warunki przez związek pracodawców wypracowane się nie zgodzili, rozpoczęła się walka w przemyśle budowlanym na wielką skalę. Przedsiębiorcy budowlani zorganizowanych pracobiorców od pracy wykluczyli, posługując się bądź to robotnikiem niezorganizowanym, bądź zaprzestając pracować zupełnie.

Ponieważ pracobiorców zatrudnionych w przemyśle budowlanym ogółem jest przeszło 400 tysięcy, przeto jesteśmy świadkami jednej z największych walk ekonomicznych, jakie się w ostatnich czasach wydarzyły.

Napięcie i trwanie tej walki zależeć będzie od najróżnorodniejszych czynników. Do najważniejszych należy obfitość nagromadzonych kapitałów.

Pracobiorcy posiadają kasę wojenną, rozporządzającą 15 milionami marek. Ponieważ robotnicy oświadczyli, że przez pierwsze 14 dni bezrobocia nie będą żądali żadnych zapomóg z kasy strejkowej, przeto nagromadzone fundusze pozwolą im trwać około 6 tygodni w bezrobociu. Lecz liczyć jeszcze mogą na zapomogi ze strony związków robotniczych innych kategoryj, a nadto przychodzi im w pomoc możność zarobkowania w innych gałęziach przemysłu, a także w rolnictwie, które jak wiadomo corocznie około pół miliona sezonowych zatrudnia robotników. Uwzględniając to wszystko należy przypuszczać, że pracobiorcy budowlani wcale nie znajdują się w tak rozpaczliwem położeniu, aby się mieli łatwo poddać uroszczeniom pracodawców.

Pracodawcy są bez porównania od pracobiorców bogatsi. Ich skarb wojenny wynosi 60 milionów marek. Jednakże i to uwzględnić należy, że organizacya ich będzie musiała ponosić wielkie wydatki, by swych finansowo słabszych członków uchronić przed ruiną. A 60 milionów, lubo to wielka suma, to jednak nie tak znaczna, aby jej posiadaczom pozwoliła zbyt długo trwać w lokaucie. To też nie od dziś toczą się układy, by do walki wciągnąć także poszczególne kategorye dostawców materyałów budowlanych, cegielnie itd. i w ten sposób swoje stanowisko wzmocnić.

Jednakże jakkolwiek pieniądz wielką jest potęgą, nie jest wszakże jedynie rozstrzygającym. Wielką rolę odgrywa także poczucie solidarności społecznej i karność, a pod tym względem zazwyczaj pracobiorcy przewyższają pracodawców.

Nie łatwą więc jest rzeczą przewidzieć czas trwania i wynik tej walki. Wprawdzie zazwyczaj ten, kto zaczepnie występuje, a uczynili to w tym przypadku pracodawcy, tem samem daje do zrozumienia, że z wielką nadzieją zwycięstwa w bój kroczy, lecz ta sama otucha i ten sam zapał uwydatnia się także po stronie przeciwnej. I po stronie pracobiorców istnieje silna wola nie poddania się i wiara w zwycięstwo. Jak będzie, niedaleka przyszłość wykaże. W każdym razie publiczność nie może obojętnie patrzeć na te zapasy. Nie jestto bowiem dla postronnych obojętnem, czy w tak ważnej gałęzi przemysłu krajowego jak budownictwo panuje wojna czy pokój. Zastój na tem polu odbija się najfatalniej na całych kategoryach rzemiósł czerpiących z przemysłu budowlanego źródła dochodu, wpływa ujemnie na handel, ubezwładnia kapitał włożony w rozpoczęte, a wskutek lokautu nie dokończone budowle, powoduje brak mieszkań i wskutek tego podnosi ceny dzierżawy pomieszkań, sprowadza zastój w przemyśle drzewnym, betonowym, ceglarskim itd., wskutek czego robotnicy w odnośnych gałęziach przemysłu zajęci tracą możność zarobkowania, także ogólny ruch pieniężny słabnie, konjunktury się pogarszają, słowem walki takie odbijają się bardzo dotkliwie na całokształcie dobrobytu społeczeństwa.

To też podziwiać trzeba odwagę organizacyi pracodawców, że zdecydowała się na wypowiedzenie wojny słusznie w kołach szerokiej publiczności wielce niepopularnej, w obecnych czasach tyle robotnikom przychylnych niepopularniejszej niż kiedykolwiek.

Lokauty są bezporównania rzadziej się zdarzającemi zjawiskami jak strejki. Największe z nich, jakie się wydarzyły w biegu ostatnich dziesiątków lat, miały na celu zasadnicze momenty. Tak np. we wielkim lokaucie w przemyśle maszynowym i okrętowym w Anglii chodziło nie tyle o ośmiogodzinny dzień pracy, ile o zasadniczą sprawę zatrudniania niewykwalifikowanych robotników. Także znany lokaut, który r. 1899 wybuchnął w Kopenhadze, miał na celu kwestyę zasadniczą, a mianowicie zgniecenie robotniczych związków fachowych. Nie inaczej obecnie się sprawy przedstawiają. I w naszym przypadku chodzi o zasadnicze sprawy w pierwszym rzędzie, a mianowicie o rozbicie organizacyj robotniczych. Uchwały bowiem związku pracodawców są w głowę przeciwne rzetelnej idei taryfowej. Na gruncie przez nie stworzonym nie może powstać taryfa, opierająca się na zasadzie równouprawnienia stron kontrahujących, lecz conajwyżej narzucony jednostronnie stosunek.

Nie dziw więc, że pracobiorcy domagają się energicznie, aby przy ustanawianiu nowej taryfy ich przedstawicielstwo było czynnikiem równouprawnionym z przedstawicielstwem pracodawców, albowiem tylko na tej drodze da się wypracować normy odpowiednie.



Reforma kas chorych.

Projekt reformy kas chorych, inwalidów, wdów i sierot po przerobieniu w radzie związkowej przesłany został 16-go marca parlamentowi. Jak rozmaite pisma donoszą, to tylko życzenia wielkiego przemysłu uwzględnione zostały, gdy tymczasem życzenia kas chorych i od nieszczęśliwych wypadków zupełnie pominięto; zasada przeto, aby ukrócić samorząd kas chorych, i w radzie związkowej większością głosów usankcyonowaną została. Już dawno w parlamencie odzywały się głosy, że państwo za wiele utrzymuje urzędników i dla oszczędności liczbę tychże zmniejszyćby należało — tymczasem w praktyce robi się inaczej — znosi się wedle projektu tanią i pojedyńczą administracyę kas chorych, a zamierza zaprowadzić ogromny aparat urzędniczy, który dziesięć razy więcej kosztować będzie. Obecnie w kasach chorych powiatowo-miejskich przy 1500—1800 członkach pracuje dwóch niby — urzędników, t. j. kasyer i przewodniczący zarządu. Pensyi urzędniczej ci panowie nie pobierają, tylko tak zwaną renumeracyę wynoszącą 800—1200 marek rocznie. Przy tak taniej administracyi można było normować niskie składki i kasy chorych nie dały się zabezpieczonym tak bardzo uczuć. Ze zaprowadzeniem reformy wedle nowego projektu, zmieni się wszystko na gorsze, gdyż ze składek będą musiały być pokryte koszta utrzymania czyli pensye licznych, a dobrze płatnych urzędników, z których każdy najmniej 2,400 marek pobierać będzie.

Składki na kasy chorych, inwalidów, wdowy i sieroty, zabezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków stanowić przeto będą ogromny nowy podatek dla wszystkich, co przy obecnej drożyźnie i wysokich innych podatkach da się interesowanym okrutnie we znaki. Że przez to powstanie wielkie i słuszne niezadowolnienie między publicznością, to naprzód przewidzieć można.

Teraźniejsze prawo kas chorych obejmuje 87 paragrafów, a prawo od nieszczęśliwych wypadków jest jeszcze mniejsze, a i z temi nieraz sądy rady dać sobie nie mogą, cóż to dopiero będzie po zaprowadzeniu nowego prawa zawierającego 1754 paragrafy?

Pisma mające styczność z kołami parlamentarnemi proponują, aby nowy ten i obszerny projekt do prawa oddać co prędzej komisyi, któraby całe lato nad niem ślęcząc, w jesieni takowe plenum przedłożyć mogła. Inne proponują oddać go komisyi dopiero po wielkich feryach w sierpniu. Jak wiadomo, ze strony parlamentu uchwalone swego czasu zostało, aby to nowe prawo już z dniem 1-go stycznia 1911 weszło w życie.

Bądź jak bądź i my tą sprawą zainteresować się powinniśmy, a Koła polskiego obowiązkiem jest wysłać do proponowanej komisyi dzielnego i pilnego członka, aby sprawy nie zaniedbał i za utrzymaniem samorządu kas chorych obstawał.

Zdania co do praktyczności powyższego nowego prawa są bardzo podzielone — walka zatem będzie zacięta i długa i jak się zakończy przewidzieć trudno!

W nr. 90 „Gońca Wielkop.“ pisze p. T. S—z., że artykuł „Pracy“ (Nr. 16) pt. „Zwycięstwo secesyi,“ jeżeli nie pisany, to na pewno inspirowany jest przez wybitnego członka Komitetu Prow.

Ponieważ w tak stanowczej formie wyrażone twierdzenie może czytającego w błąd wprowadzić co do postawy naszej najwyższej władzy wyborczej w sprawie zajść ostatnich, winniśmy oświadczyć, że rzeczony artykuł „Pracy“ jest zwykłym artykułem redakcyjnym, absolutnie samodzielnie napisanym i przez nikogo nie inspirowanym. W konsekwencyi pozbawiona jest rzeczowej podstawy cała polemika p. T. S—z. przeciwko Prow. Kom. Wyb., o ile oparta jest na danych, zawartych w rzeczonym artykule „Pracy.“



Pan Wojciech Sosiński

nadesłał nam obszerny artykuł, w którym odpowiada szczegółowo na owych dziewięć pytań stawionych mu przez p. Karola Rzepeckiego na pamiętnym wiecu w ogrodzie zoologicznym.

W artykule tym zatytułowanym „W obronie czci i honoru mego“, a wydrukowanym w pismach codziennych, odpiera p. Sosiński uwłaczające mu w najwyższym stopniu, a bezpodstawne zarzuty i wykazuje swoją niewinność.

Ponieważ artykuł p. Sosińskiego doszedł nas zbyt późno, by mógł być wydrukowany w zeszłym numerze „Pracy“, a obecnie już czytelnikom z pism codziennych jest znany, przeto rezygnujemy wogóle z jego ogłoszenia. Czujemy się wszakże zobowiązani zaznaczyć, że nie wątpiliśmy ani na chwilę o charakterze p. Sosińskiego, którego znamy jako prawego obywatela i dobrego Polaka, oraz że najgorecej ubolewaliśmy nad tem, iż na podstawie pogłosek śmiano mu na publicznem zebraniu zadać szereg w najwyższym stopniu ubliżających pytań.

Mamy nadzieję, że odpowiedź p. Sosińskiego rozproszy wątpliwości, jakie wskutek tej nagannej inkwizycyi wiecowej powstać mogły.

* * *

Także p. Karol Rzepecki nadesłał nam oświadczenie wyświetlające jego stanowisko w sprawie wyborów. I tego oświadczenia nie publikujemy z tych samych, co wyżej, względów.

Wierzymy lojalnie w poprawność wyszczególnionych w oświadczeniu danych. Pragniemy także uwierzyć w szczerość ubolewania p. Rzepeckiego nad rozłamem. Tembardziej jednak nas dziwić i smucić musi, że tak doświadczony w sprawach wyborczych mąż, nie zdawał sobie sprawy ze skutków, które jego niefortunna indagacya wiecowa za sobą pociągnąć musiała. To powinno mu było być przytomnem, że, zadając legalnemu kandydatowi pytania inwolwujące najstraszniejsze zarzuty, jakie Polakowi i człowiekowi zrobić można, nie przyczyniał się do wzmocnienia i spopularyzowania legalnej kandydatury, lecz dyskredytował ją i osłabiał i pośrednio pędził wodę na młyny secesyi, a przecież na to chyba zgodzi się z nami p. Rzepecki, że prawdziwy patryotyzm nawet pozorów takich radził unikać.

Ten błąd zresztą popełnił nie tylko sam p. Karol Rzepecki. Popełniła go wielka część prasy ludowej, która wprawdzie nawoływała, aby wyborcy byli posłuszni uchwale najwyższej władzy wyborczej, lecz z drugiej strony tak gorżko i namiętnie nad tą uchwałą utyskiwała i z tak ciężkiemi, a nieudowodnionemi występowała przeciw p. Sosińskiemu oskarżeniami, że dziwić się nie można, iż dziś spotyka ją zarzut, jakoby była pośrednio przyczyniła się do powodzenia secesyi.

Nam się zdaje, że ten, kto za żadną cenę nie chciał secesyi, powinien był z chwilą ogłoszenia legalnej kandydatury odrazu stanąć na gruncie stworzonym przez uchwałę Prow. Komitetu Wyborczego, odkładając wszelką krytykę na czas późniejszy. Po wyborach był czas na krytykę i żale. Przed wyborami wywoływało to tylko zamieszanie.

Nie przesądzamy, czyby to było zapobiegło secesyi. W każdym razie nie byłoby tego rozdarcia, na które obecnie patrzymy.

Nie ma podobno tego złego, coby na dobre nie wyszło. Miejmy przeto nadzieję, że przy zbliżających się nowych wyborach damy przykład absolutnej karności obywatelskiej i solidarności narodowej, podporządkowując się wszyscy bez wyjątku lojalnie rozkazom naszych władz wyborczych, które z ostatnich smutnych nad wyraz zajść niewątpliwie cenne wyciągnęły doświadczenia...

* * *

I jeszcze słowo na koniec. Potępiamy wszyscy secesyonistów, jednakże nie widzimy, żeby się powołane czynniki zabierały do zgromienia tych kilku tysięcy wyborców, którzy podobnie jak secesyoniści wyłamali się z pod karności i solidarności i również rozkazu naszej najwyższej władzy wyborczej nie uszanowali. Mamy tu na myśli tych, którzy wogóle nie głosowali.

Nie byli to bynajmniej wyłącznie tylko nieuświadomieni ludzie, którzy zazwyczaj obowiązków obywatelskich nie wykonują. Byli tam i tacy, którzy dla tego nie głosowali, bo im się osoba kandydata nie podobała. Tym panom należałoby rzetelnie roztrząsnąć sumienie. Nowe wybory dadzą im sposobność naprawienia krzywdy, jaką społeczeństwu wyrządzili, wprawiając niemczyznę w tryumf z powodu rzekomo cofającej się liczby głosów polskich.

Musimy koniecznie dowieść, że w Poznaniu polskość bynajmniej się nie cofa, inaczej możemy się przygotować na to, że hakatyści będą udowodniać, iż to ich polityka tak wspaniałe z niemieckiego punktu widzenia wydaje rezultaty.



Jubileusz J. Chociszewskiego w Gnieźnie.

W roku bieżącym obchodzi weteran dziennikarstwa naszego, zasłużony dla sprawy polskiej, kilkakrotnie fortecą i więzieniem karany redaktor i wydawca Józef Chociszewski z Gniezna swój pięćdziesięcioletni jubileusz pracy znojnej i obfitej w plon idealny. Stanął on od zarania młodości w jednym szeregu z tak zasłużonymi mężami, jak Paweł Stalmach, Karol Miarka, ks. Tomicki, Julian Kraziewicz, Ignacy Danielewski, ks. Bartoszkiewicz, ks. Połomski, Jagielski, Łyskowski, Józef Gółkowski, Karol Kozłowski i inni i po dziś dzień wiernie wytrwał przy sztandarze, na którym wypisana była gorąca miłość ojczyzny, oświata ludu i poświęcenie dla sprawy. Niósł jej w ofierze swój talent, życie, zdrowie i płomień ożywczy gorącego swego serca. Wobec tego Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów Polskich postanowiło uczcić zasłużonego weterana, znanego autora „Dziejów Narodu,“ „Piśmiennictwa polskiego,“ oraz setek wydawnictw popularnych i dać pobudkę do zebrania dlań **daru honorowego,** aby wyrazić mu w ten sposób szczery szacunek i uznanie za jego pracę dla ludu i młodzieży i osłodzić ostatnie dni znojnego jego życia.

Wzywamy niniejszem całe społeczeństwo nasze, jednostki i towarzystwa, dla których całe życie działał, do składania datków na dar honorowy dla Józefa Chociszewskiego. Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów przeznacza na ten cel 100 mrk.

Datki prosimy przesyłać na ręce redakcyi polskich.

Zarząd Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów Polskich.

Józef Kościelski, prezes. Stefan Chociszewski, wiceprezes.
Tadeusz Jaworski, sekretarz. Konst. Kościński, skarbnik.
Ks. Józef Kłos. Ludwik Mizerski, Karol Rzepecki.



Głosy od przyjaciół.

Z Pszczyńskiego (G. Śląsk), 17. 4. 10.

Niniejszym listem chcę wyrazić uznanie i podziękę wydawnictwu za wszystkie ulepszenia w ostatnich czasach powzięte, które „Pracę“ uczyniły takim tygodnikiem, że się go w każdą niedzielę jako miłego gościa wita, osobliwie, gdy wiąże nas przyjaźń od dawna. Korzystam także i z tego, że zachowując każdy numer starannie, mam co pół roku cenną książkę więcej; w ten sposób już dziesięć półroczników uzbierałem, które mnie jakoby nic nie kosztowały, gdyż tak małego abonamentu nie ma ani co rachować, a oprawa też nie droga. A taka książka może się w każdej domowej biblioteczce znajdować, gdyż artykuły i powieści w „Pracy“ umieszczone nie są tylko dla bieżącej chwili przeznaczone. Ubolewać tylko należy, że lud tutejszy (mówię o bliższej okolicy) stosunkowo mało czyta, czy to gazety lub książki, chociaż przyznać trzeba, że rad słucha naszych światlejszych wiarusów, już to w pracy, już to po za nią, gdy mu się coś przeczyta, albo opowiada.

Lecz jeżeli z tymi mamy pół biedy, to całą biedę uczuwamy z tymi, którym już brakuje odwagi przyznawać się do polskości i na widok polskiej gazety jakoś niemiło im się robi. Są to we większej części ci, którzy się jakiej lepszej posady lub urzędu dorobili. Mogę jednakowoż każdemu zaręczyć, że jego wymówki: „nie mogę,“ „nie śmie“, są często bezpodstawne i przy trochę dobrej woli i cywilnej odwagi niejedno zrobić może. A czy sobie myśli taki, który zawsze i wszędzie skwapliwie zakrywa swą narodowość, że już go Niemcy mają za równego sobie?

Gdyby tak nieraz widział te uśmiechy szydercze, albo też politowania, któremi go za plecami darzą, gdy się chce swoją niemiecką umiejętnością popisywać więcej niżeli potrzebuje, przyczem się bardzo często nieprzyjemnie wykolei, z pewnością by się naprawił i nie czynił więcej pośmiewiska z siebie. Ile razy jestem świadkiem takich scen! Nasuwa mi się przytem przekonanie, że ów człowiek byłby więcej poważanym ze strony uczciwych ludzi, gdyby tak gwałtownie nie starał się uchodzić za „patryotę.“ Współpracowanie z nim nie należy do przyjemności, a wreszcie o jakiemś zaufaniu ani mowy nie ma. Jak miło znów oddziaływa obcowanie z ludźmi „naszymi!“ Są to mężowie stateczni, pełni charakteru, którym można zupełnie zaufać. U nich też znaleść można i dobrą gazetę i książkę i dzięki Bogu, że tychże wiarusów mamy dosyć sporo, chociaż pozornie nie wiele o nich słychać, a da Bóg doczekać dalszych lat, będzie ich więcej, byle tylko nasze gazety jak najbardziej się rozpowszechniły, gdyż jedynie przez nie oświata narodowa tutaj dźwigać się może.

Mam nadzieję, żem nie zabrał Szanownej Redakcyi dużo czasu mojem pisaniem; zresztą dotąd jeszcze bardzo mało naszym językiem pisywałem. Pisowni nauczyłem się z czytania gazet, mianowicie z kochanej „Pracy“ i gdy się nadarzy jaka sposobność, sprawia mi pisanie przyjemność.

N. N.
dozórca kopalniany.

Z TEATRU.

T. Kończyńskiego „Srebrne szczyty“. — Benefis p. Lehrera.—Amatorskie przedstawienie „Gniazda rodzinnego.“

Nie możemy powiedzieć, aby „Srebrne szczyty“ były dokumentem postępującego rozwoju talentu p. Kończyńskiego. Jestto w gruncie rzeczy sztuka z artystycznego punktu widzenia słaba, lubo nie można jej odmówić pewnych zalet pod względem zewnętrznej faktury. Patrzy się na to wszystko, co się dzieje na scenie, nie bez zainteresowania, lecz głębszych wrażeń nie budzi widok tych szamocących się w miłosnych podrygach postaci. Żadna z tych osób nie jest nam prawdziwie sympatyczna. Irytuje nas egzaltacya pani Warnickiej, gniewa nas ów podtatusiały redaktor Lagocki, który rzuca na szalę szczęście rodziny, by dogodzić chwilowej namiętności, a wprost wstręt budzi żona Lagockiego, godząca się na najhaniebniejszy, jaki się da pomyśleć kompromis, byle tylko uratować dla swych dzieci ojca. Może być, że to czyn heroiczny, lecz niegodny i brzydki i moralna szpetota jego bardziej nas odtrąca niż nas wzrusza wielkość ofiary. Jest tam jeszcze jakiś rozwydrzony poeta, który początkowo baje rozmaite zabawne niedorzeczności, aby pod koniec wybuchnąć żarem chorej i wstrętnej chuci erotycznej. Jest mąż Warnickiej, wielki nicpoń, lecz jedyny niemal w tej sztuce człowiek, dla którego się można zdobyć na iskrę sympatyi.

Jak się rzekło, ludzie ze „Srebrnych szczytów“ — to ludzie mali i płascy, a autor tego nie widzi, lecz pragnie nam wmówić, że stworzył typy niepowszednie i interesujące. Sztukę tę wybrał p. Jan Kęcki na swój benefis i z wielkiem powodzeniem kreował rolę męża bohaterki. Szczęśliwszym jego rywalem redaktorem Lasockim był p. Werowski, który w roli amanta zbyt był koturnowy. Zupełnie w swoim żywiole była p. Turowiczówna jako Warnicka, to samo należy powiedzieć o p. Borońskim, który objął rolę poety Leszczyca. Epizodyczne role Kreczmera i brata Lasockiego u pp. Milskiego i Andruszewskiego w odpowiednich były rękach. Również pani Bogusińska jako Lasocka zupełnie stanęła na wyżynie trudnego zadania. Pomniejsze role rozdane były odpowiednio.

Publiczność zebrała się licznie i sympatycznego benefisanta przyjmowała owacyjnie. Także kwiaty obficie pojawiły się na scenie.

W niedzielę odbył się benefis zasłużonego wielce kapelmistrza naszej opery p. Lehrera. Dawano po 25 raz „Straszny dwór“ w zmienionej obsadzie o tyle, że partyę Hanny objęła p. Krajewska, Maciejem zaś był p. Szymański. Przedstawienie było pod każdym względem udatne. Owacyjne przyjęcie zaś jakiego zewsząd doznał p. Lehrer świadczy wymownie o wysokiem uznaniu, jakiem się utalentowany muzyczny kierownik naszej opery cieszy.

W poniedziałek odegrało za staraniem p. radczyni Cichowiczowej grono znanych w mieście naszem amatorów Sudermana „Gniazdo rodzinne“. Dochód z przedstawienia ma się przyczynić do stworzenia działu etnograficznego w Muzeum Mielżyńskich. Nie tylko szlachetny cel, lecz znakomita gra amatorów, pamiętna publiczności naszej z uprzednich występów, zwabiła licznych widzów do teatru. Zaznaczyć jeszcze należy, że szanowni amatorzy mieli powodzenie zupełne.

R.

Z bieżącej chwili.

Wielki pożar.

Kilkanaście tysięcy osób wywabił w zaprzeszłą niedzielę (10 b. m.) pożar, który krótko po godzinie 4 po południu wybuchł na tutejszym głównym dworcu w pewnej szopie towarowej — w jaki sposób, nie zdołano na razie wyśledzić. Czarne kłęby dymu unoszące się nad miastem, wskazywały, że musi to być pożar większych rozmiarów. To też wkrótce stanęły na miejscu wszystkie sikawki z miasta i dawniejszych przedmieść. Mimo energicznej pomocy, spaliło się 6—7000 progów kolejowych. impregnowanych i kilka wagonów. Pracowano usilnie nad niedopuszczeniem ognia do pobliskiej gazowni, gdyż skutki byłyby straszne. Po dwóch godzinach zażegnano grożące niebezpieczeństwo. Straż ogniowa pracowała z pomocą 16 węży gumowych, któremi wodę pędziły trzy parowe sikawki. Dopiero około 11 zdołano pożar zupełnie stłumić. Szkodę obliczają na kilkadziesiąt tysięcy marek. Ministra robót publicznych powiadomiono telegraficznie o pożarze. Komunikacya nie została przerwaną.

Wiadomości.

— **Twórzmy Towarzystwa polityczne.** Zakaz językowy uniemożliwił nam odbywanie wieców i porozumiewanie się wspólnie w sprawach politycznych. Chcąc spełniać nasze obowiązki polskie i obywatelskie, nie możemy siedzieć w domu i milczeć. Wiece dawniejsze winny nam zastąpić towarzystwa polityczne, które znajdować się powinny w każdej miejscowości. W towarzystwach moglibyśmy miewać wykłady i toczyć rozprawy o naszych bieżących sprawach polskich i o wszelkich sprawach państwowych i publicznych. Rozrzuceni po dalekiej obczyźnie, wszędzie otoczeni przeciwnikami i żywiołami obcymi, dbać powinniśmy przedewszystkiem o to, by pomiędzy nami panowała jak największa łączność i największa jednolitość w pracy naszej. Taka łączność i taka jednolitość zapanuje, jeśli wszystkie te towarzystwa nasze polityczne podług jednych i tych samych zasad będą pracowały, na jednej i tej samej podstawie będą się opierały i pomiędzy sobą łączność utrzymywały. Cel ten osiągniemy, jeśli w każdej miejscowości znajdować się będzie „Straż,“ lub jeśli istniejące już tamże towarzystwo do „Straży“ przyłączymy. Towarzystwa już istniejące mogą i nadal tak jak



Zdjęcie amatorskie J. S-k.

Pożar progów kolejowych na dworcu w Poznaniu dnia 10. kwietnia 1910 r.

dotąd zajmować się także wszelkiemi miejscowemi sprawami politycznemi, a przez przyłączenie się do „Straży“ podadzą rękę ogółowi polskiemu zorganizowanemu w tejże organizacyi. Każdy przyznaje, że za mało łączności pomiędzy nami, że bardzo wielu wśród nas jest obojętnych, że potrzeba pracy politycznej, jeśli mamy się oprzeć grożącym nam niebezpieczeństwom i naporowi wrogów. Przystąpmy więc do pracy, i zakładajmy wszędzie towarzystwa polityczne „Straż“ tam, gdzie ich nie ma, i starajmy się wszędzie przyłączyć do „Straży.“

Wszelkich informacyj w sprawie założenia towarzystwa lub przyłączenia istniejącego towarzystwa politycznego do „Straży“ zasięgnąć można u niżej podpisanych.

Za okręg westfalsko-nadreński Towarzystwa „Straż“ w Poznaniu

St. Kunz, prezes.
Herne, ul. Strünkederstr. 52.
Michał Kwiatkowski, sekretarz.
Herne, ul. Dworcowa 60.

— **Towarzystwo Opieki katolickiej nad służbą żeńską w Poznaniu,** istniejące od sierpnia roku 1906, rozwiązało się mocą uchwały walnego zebrania z dnia 11-go b. m. Chlebodawcy, panie zarówno jak panowie, nie okazywali należytego zainteresowania dla tej ważnej instytucyi, która mogła znakomite usługi oddać społeczeństwu. Towarzystwo założyło z biegiem czasu Biuro stręczeń, oraz Schronisko dla służby żeńskiej. Walne zebranie uchwaliło Biuro stręczeń i Schronisko wraz z całym majątkiem przekazać istniejącemu tutaj i zdrowo się rozwijącemu Towarzystwu Służby żeńskiej pod wezw. Matki Boskiej Różańcowej, należącemu do Związku Towarzystw kobiet pracujących.

Biuro stręczeń będziemy tedy prowadzili odtąd na własny rachunek. Wszelkie zgłoszenia o służące, kucharki, pokojowe, piastunki i t. p. prosimy adresować chwilowo: Biuro stręczeń Służby żeńskiej w Poznaniu, św. Marcin 69. (Posen).

Za Towarzystwo Służby żeńskiej pod wezw. Matki Boskiej Różańcowej.
Ks. Kłos, patron. **P. Kostencka,** sekretarka.

— **Wieczornica oświatowa,** urządzona w niedzielę palmową na św. Łazarzu w Poznaniu staraniem miejscowego duszpasterza ks. Kaźmierza Malińskiego — mająca na celu pouczenie się w walce z alkoholizmem, tym olbrzymim wrogiem ludzkości, i społeczeństwa, wydała wspaniałe owoce. Powstało bowiem na św. Łazarzu Towarzystwo zupełnej wstrzemięźliwości, Wyzwolenie, które obecnie liczy już 402 członków. Prezesem Towarzystwa jest miejscowy ks. wikaryusz Cieszyński, zastępczynią panna Z. Cwojdzińska, sekretarzem p. Tadeusz Gertych, zastępczynią p. A. Karpińska, skarbnikiem p. N. Szmytkiewicz, do pomocy w zbieraniu składek wybrana p. A. Urbaniak, bibliotekarzem pan Piotr Balcer, zastępcą p. Bzdręga. Radnymi są pp. St. Adamski i St. Grzegorzewicz, pp. Brodowska i Malińska; 15 pań i 10 panów wybrano na kierowników potworzonych kółek w towarzystwie, aby dokładna i energiczna praca w najwydawniejsze obfitowała owoce. Patronat nad towarzystwem objął miejscowy ks. Maliński.

Dłuższe przygotowania do urządzenia wspomnianej wieczornicy i wieczornica sama nie tylko wzbudziły zainteresowanie i zapał do pracy na polu abstynencyi zupełnej, ale przedewszystkiem jasno przekonały, że do walki z olbrzymim wrogiem — alkoholem — zabrać się największy już czas, — największy czas w naszem polskiem społeczeństwie; tem też się tłomaczy tak znaczna liczba członków w nowem towarzystwie.

Nowemu towarzystwu Szczęść Boże!

— **Zwyczajne Walne Zebranie Banku Ziemskiego w Poznaniu** odbyło się w lokalu bankowym we wtorek, dnia 12-go kwietnia r. b. pod przewodnictwem Prezesa Rady Nadzorczej p. Zygmunta Chłapowskiego z Turwi przy dość licznym udziale akcyonaryuszów.

Przewodniczący zakomunikował Zebraniu ustąpienie dotychczasowego członka Zarządu p. Dyrektora Alexandra Chrzanowskiego spowodowane chorobą, podnosząc wybitne jego zasługi około rozwoju instytucyi i wyrażając uznanie i wdzięczność dla jego dwudziestoletniej pracy.

Członek Zarządu p. Z. Rychłowski w sprawozdaniu swem dał pogląd na rozwój i działalność instytucyi, przedstawił bieg interesów bankowych w ciągu roku obrachunkowego i objaśniał sumy obrotowe wynoszące po obu stronach 30143194,56 mrk. Bilans wykazujący po obu stronach 9160071,16 mrk., oraz Rachunek Zysków i strat, wykazujący czystego zysku do podziału 243491,29 mrk.

Po odczytaniu protokółu Komisyi Rewizyjnej przez p. Henryka Hedingera przyjęto i potwierdzono Bilans i Rachunek Zysków i Strat bez zmian, udzielając Zarządowi i Radzie Nadzorczej pokwitowania.

Również przyjęto projekt podziału czystego zysku, z którego 160 000 mrk. przeznaczono na 4 proc. dywidendy, 12174,57 mrk. przekazano do funduszu rezerwowego zwyczajnego, 33395,02 mrk. do funduszu rezerwowego nadzwyczajnego, 8100 mrk. na tantyemę dla Zarządu i gratyfikacyę dla urzędników, 16000 marek do funduszu emerytalnego dla urzędników, 8500 marek do rachunku kosztów handlowych na rok 1910, a resztę 5321,70 mrk. do przeniesienia na rok 1910.

Odstawione tym sposobem fundusze rezerwy zwyczajnej i nadzwyczajnej wynoszą obecnie 480681,10 mrk. wobec 4000000 mrk. kapitału zakładowego i 2461882,66 mrk. depozytów.

Fundusz Delcredere wynosi 55204,31 mrk., a fundusz emerytalny dla urzędników wzrósł do wysokości 78031 mrk.

W miejsce ustępujących na mocy statutu 4 członków Rady Nadzorczej wybrano jednogłośnie ponownie pp. Zygmunta Chłapowskiego, Dobrogosta Lossowa i Władysława Szczepkowskiego, a w miejsce p. Dr. Witolda Skarżyńskiego, który ponownego wyboru przyjąć nie mógł, p. Stanisława Mukułowskiego z Czerniaka, wszystkich na dwa lata.

Do Komisyi Rewizyjnej wybrano pp. Dr. Jackowskiego, J. Paczkowskiego i H. Hedingera, a na zastępców pp. A. Brylińskiego i Dr. Jerzykowskiego.

Po wysłuchaniu odczytanego przez p. mecenasa Trąmpczyńskiego protokółu notaryalnego zamknął przewodniczący Walne Zebranie.

— **Od dyrekcyi „Westy“** odbieramy pismo następujące:

Będąc w posiadaniu głównych liczb bilansowych za rok 1909, możemy zakomunikować członkom i życzliwym naszej instytucyi, iż czysty zysk roku obrachunkowego wyniesie po odłożeniu prawem i statutem przepisanych rezerw i dokonaniu niezbędnych odpisów

mrk. 72 689,16.

Rezerwy podniosły się w ubiegłym roku na mrk. 3 984 701,04

i wynoszą włącznie ze składkami przeniesionemi 26 procent ogólnej sumy zabezpieczonej.

Dla członków wypadnie za rok 1909
18 procent dywidendy
wobec 17 proc. za rok 1908, a 15 proc. za rok 1907.

Certyfikataryusze otrzymają 4 proc. zysku, które stanowić będą 15 proc. od wartości kuponu.

Śmiertelność była mniejsza od śmiertelności w roku 1908, a znacznie mniejsza od obrachunkowej.

Wypłaciliśmy w roku 1909
mrk. 189 950 po 106 zmarłych członkach,
mrk. 106 870 członkom za życia.

Ogółem dotychczas wypłacone zostało przez „Westę“ do końca roku 1909
mrk. 5 620 731,16.

Cały majątek „Westy“ podniósł się do wysokości
mrk. 4 466 735,21.

— **Chopin u ks. Radziwiłła.** Zwracamy uwagę na ogłoszenie p. Karola Kozłowskiego. Obniżył on o połowę cenę za przepiękną grawurę: **Chopin u księcia Radziwiłła** podług obrazu Siemiradzkiego. Niewątpliwie publiczność polska skorzysta z tej sposobności i nabyciem tej pięknej reprodukcyi uczci pamięć Chopina, który swymi prześlicznymi utworami rozszerzył sławę imienia polskiego na obu półkulach świata. — Obraz ten będzie nie tylko miłą pamiątką roku jubileuszowego naszego wielkiego pisarza tonów, ale zarazem i prawdziwą ozdobą tak salonu, jak i skromniejszego mieszkania. A że obraz jest piękny, przekonał się każdy, kto był na uroczystości chopinowskiej w teatrze polskim, gdzie podług tej reprodukcyi **żywy obraz** był ułożony. Zrobił on na publiczności głębokie wrażenie i należał do najlepiej udanych części programu uroczystości chopinowskiej.

— **Chleb dla swoich.** Piąte ogłoszenie „Straży“ z dnia 15-go kwietnia 1910 r. Następujący rodacy, posiadający kapitał zakładowy znajdą dobre utrzymanie: 1) kupiec towarów kolonialnych, 2) kupiec cygar i papierosów, 3) kupiec żelaza, 4) kupiec bławatnik, 5) kupiec bielizny, 6) hotelista, 7) cukiernik, 8) restaurator, 9) piekarz, 10) rzeźnik (wielki interes z domem i rolą na małem mieście W. Ks. Poznańskiego do nabycia), 11) krawiec, 12) szewc, 13) kowal, 14) stelmach, 15) stolarz, 16) siodlarz, 17) ogrodnik, 18) zegarmistrz, 19) bednarz, 20) spedytor, 21) ślusarz, 22) garncarz, 23) kuśnierz, 24) blachnierz, 25) lekarz, 26) adwokat. Do nabycia są: 1) dobrze polecony wielki interes stolarski, 2) wielki interes żelaza i maszyn, 3) drogerya, 4) wiatrak, 5) młyn wodny, 6) młyn motorowy, 7) interes zbożowy i nawozów sztucznych, 8) mały browar ze składem piwa i węgli, egzystujący 18 lat, 9) handel masła, sera i wędlin, 10) fabryka wody selterskiej ze składem piwa, 11) z rąk obcych korzystnie do nabycia w Prusach Zach. folwark i majętności wiejskie. — Równocześnie usilnie prosimy Szanownych Księży, towarzystwa przemysłowe i kupieckie, oraz osoby zaufane — potrzeba w tym przypadku trzech podpisów — o podanie miejscowości, gdzieby mogli osieść, założyć, kupić lub zadzierzawić: kupcy najróżniejszych branż, rzemieślnicy rozmaitych zawodów, w jednej miejscowości W. Ks. Poznańskiego dwóch braci, jeden rzeźnik, drugi stolarz, warsztat reparacyjny wszelkich maszyn rolniczych, kotłów parowych i t. d. Poszukują zajęcia: 1) kierownik mleczarni, 2) sekretarz w biurze adwokackim, 3) pomocnik destylacyjny, 4) dozórca do fabryki, 5) kancelista, 6) gorzelnik, 7) maszynista, 8) zawiadowca filii, 9) szofer, 10) dawniejszy strażak w Berlinie jako woźny bankowy, 11) dawniej-

szy nauczyciel o jaką stosowną posadę, 12) budowniczy chce wstąpić do spółki, ma 10,000 mrk. Bliższych informacyj udzieli biuro „Straży.“ Adres: Dr. Franciszek Schroder, Poznań, ulica Rycerska 12, telefon 1440. Prosimy o 20 fen. w znaczkach pocztowych na odpowiedź.

— **Ze sprzedaży kart gratulacyjnych** i kondolencyjnych, zastępujących telegramy, wpłynęło do kasy za pośrednictwem p. Cz. Kusztelana skarbnika w Poznaniu w dalszym ciągu mrk. 97 fen. 10.

— **Na Czytelnie Ludowe** nadesłał p. J. Skonieczka z Sampłowa w Prusach Zachodnich 5 mrk. Kwotę tę odesłaliśmy skarbnikowi Czytelni Ludowej.

— **Na „Straż“** nadesłał p. J. Skonieczka z Sampłowa w Prusach Zachodnich 2 mrk. Kwotę tę odesłaliśmy do biura „Straży.“

— **Czesławice per Lipin,** dnia 11. 4. 10. Najprzód pozdrawiam Szanowną Redakcyą i dziękuje za trudy i znoje, które Szanowna Redakcya podejmuje, aby swych czytelników jak najlepiej zadowolić. Ja już jestem trzeci rok abonentem kochanej „Pracy“ i tak ją ze zajęciem czytam, że z utęsknieniem wyczekuję listowego w każdą sobotę. Donoszę też kochanej „Pracy,“ że mojem usilnem staraniem jest pozyskanie dla „Pracy“ jak największej abonentów, udało mi się też na ten kwartał kilku pozyskać, a da Pan Bóg może jeszcze więcej ich zjednam.

Józef Gr.

Od Redakcyi: Bóg zapłać za zjednywanie nam nowych abonentów i za gorące słowa uznania dla „Pracy.“

— **Coepenick,** d. 16-go kwietnia 1910 r. Abonowałem już kilka pism polskich, jako „Gazetę Toruńską,“ „Grudziądzką,“ pismo Ilustrowane „Gwiazda,“ a od 7-miu lat jestem stałym abonentem „Pracy,“ która mi się najlepiej podoba, albowiem można z niej się bardzo wiele dowiedzieć i nauczyć. Najchętniej czytam pismo ilustrowane, które mi przedstawia czyny przodków i całą historyę naszej kochanej Ojczyzny, a tej bez „Pracy“ nie byłbym poznał. Wogóle można się z niej dowiedzieć dla każdego wiele korzystnych wiadomości o przyrodzie natury. „Praca“ jest pismem bardzo pouczającym, które w każdym domu polskim być powinno.

„Pracę“ czytam bardzo chętnie i właśnie chowam wszystkie egzemplarze w tym roku, aby je dać oprawić, abym posiadał rocznik „Pracy“ 1910 z tą dla nas piękną historyą pięćsetnej rocznicy Grunwaldu, o Szopenie i t. d.

Jednakowoż nie wiem czy będę mógł mój życzliwy czyn wykonać, ponieważ zamierzam wyjechać do Ameryki Północnej, do Detroit i to może już na połowie maja. Proszę zatem Szanowną Redakcyę o łaskawe doniesienie w nr. 17-tym czybym mógł za Oceanem także czytać tę piękną i kochaną „Pracę“ i pod jakiemi warunkami?

Dołączam 20 fen. na Czytelnie Ludowe i oczekuję oznajmienia.

Jan B.

Od Redakcyi: Za gorące słowa uznania dla „Pracy“ serdecznie dziękujemy. W Ameryce Północnej prenumerata pod opaską włącznie porto kosztuje 1 dolara, którą zapłacić należy z góry.

— **Bremena.** Walne zebranie Towarzystwa polskiego „Kościuszko“ odbyło się dnia 20-go marca, w niedzielę po poł. Przy dość licznym udziale członków, zagaił przewodniczący p. Pasikowski posiedzenie. Po odśpiewaniu hymnu i załatwieniu zwykłych formalności, obrano przewodniczącym walnego zebrania p. Grzesika. Następnie zdawał zarząd sprawozdanie ze swej rocznej działalności. Ze sprawozdania prezesa p. F. Pasikowskiego wynika, iż Tow. odbyło w ciągu roku 24 posiedzenia, czyli: jedno walne zebranie, jedno uroczyste i 22 zwyczajne. Dnia 10 lipca z. r. otrzymało Tow. nowy sztandar, zaś dnia 15 sierpnia z. r. odbyło się uroczyste poświęcenie sztandaru z licznym udziałem towarzystw miejscowych i pozamiejscowych. Dnia 3 listopada z. r. wzięło Tow. udział w pogrzebie żony członka p. Cebuli z sztandarem. Dnia 9 stycznia r. b. urządziło Tow. wspólny obchód gwiazdkowy, przyczem obdarzono dzieci członków podarkami za polską naukę czytania i pisania. Następnie zdawał sprawozdanie skarbnik p. Tamas. Dochodu było razem 1198,47 mk., rozchodu 1028,27 mk., pozostaje w kasie 170,20. W dalszym ciągu zdał sprawozdanie sekretarz p. Bąk II.: były spisane razem 24 protokóły, do Tow. wstąpiło 44 członków, wyjechało 11, pozostaje 66. Wreszcie bibliotekarz p. Rajewski oznajmił, iż książek przeczytano 19, kupiono jedną (Dzieje Polski). Tow. abonuje 4 gazety: „Pracę“, „Gońca Wielkopolskiego“, „Narodowca“ i „Gazetę Gdańską“. Komisya rewizyjna potwierdziła wszystkie sprawozdania.

Do zarządu obrano następujących pp.: F. Pasikowski prez., J. Stachowiak zast. pr., K. Tamas skarbnik, A. Bąk zast. skarb., R. Bąk sekretarz, A. Maciejewski zast. sekr., J. Kruchy bibliotekarz, W. Pasikowski zast. bib., W. Bernard chorąży, Grzesik zast., P. Januszkiewicz i Rajewski marszałkowie, T. Popow i P. Januszkiewicz ławnicy.

F. Pasikowski, prezes. **R. Bąk,** sekretarz.

Nekrologia.

†**Ś. p. Zofia Słowińska** z domu **Danes,** dnia 11-go b. m. w Łobkowie (Prusy Zach.), skończywszy w tym dniu lat 35. — **Ś. p. Michalina Makowska z domu Kleszczyńska,** dnia 16-go b. m. w Kostrzynie. — **Ś. p. Józef Kosicki,** dnia 15-go b. m. w Poznaniu w 60-tym roku życia. — **Ś. p. Pelagia Majchrzak,** dnia 14-go b. m. w Bydgoszczy w 35-tym roku życia. — **Ś. p. Jadwiga Kieflerówna,** dnia 13-go b. m. w Parkaniu w 21-ej wiośnie życia. — **Ś. p. Franciszka Kłosowska z domu Szymczak,** dnia 12-go b. m. w Berlinie. — **Ś. p. z Drzewieckich Józefa Żółtowska,** dnia 14-go b. m. w Poznaniu. Pogrzeb odbył się dnia 19-go b. m. w Kamieńcu w powiecie mogileńskim. — **Ś. p. Teodozya Sommerfeld z domu Lewandowska,** dnia 17-go b. m. w Trzemesznie. — **Ś. p. Franciszek Sławicki,** kasyer Towarzystwa pożyczkowego w Koźminie, dnia 16-go b. m. w 48-ym roku życia. — **Ś. p. Marcin Cabajski,** dnia 17-go b. m. w Gostyniu w 78-ym roku życia. — **Ś. p. Zbigniew Obrębowicz,** dnia 18-go b. m. w Skórzewie w 12-tym roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Prenumeratów naszych zawiadamiamy, iż odpowiedzi listowych udzielamy jedynie w razie otrzymania znaczka pocztowego.**

— **Panu A. N. w S.** — Życzone numery „Pracy“ wysłaliśmy. Honorarya za prace literackie są rozmaite. Zależy to od wartości i objętości pracy, a także od nakładu, w jakim książka wychodzi. Przeciętne honoraryum wynosi 20—80 mrk. za arkusz druku 16 stron. Sławni pisarze biorą znacznie więcej, po kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt tysięcy za jedną powieść. „Memento mori“ znaczy tyle, co pamiętaj o śmierci. Za miłe słowa dla „Pracy“ dziękujemy.

— **Panu Kaźm. C. w S.** — Za słowa uznania serdecznie dziękujemy.

— **Panu W. K. na prowincyi.** — „Wiosna“ nie nadaje się do druku, gdyż i forma słaba i rymy kulawe („wstaje“ — „witają“) wreszcie myśli zbyt pospolite.

— **Samoukowi.** — W mowie potocznej młody okaz owadu, w jego pierwszem przeobrażeniu nazywamy liszką, gąsienicą i t. p. W nauce jednak przyjęto wyrażenie „larwa.“

— **„Ciekawemu czytelnikowi.“** — Napis ów, przytoczony w owej gazecie, oznacza: „Życie jest krótkie, sztuka trwa długo.“ Jest to przysłowie łacińskie, zaczerpnięte z „Aforyzmów“ autora greckiego Hippokratesa.

— **Czytelnikowi na prowincyi.** — Kroniki wypadków w „Pracy“ nie zamieszczamy. Za łaskawą pamięć dziękujemy.

— **Pani H. A. (anonim).** — Anonimów nie uwzględniamy. Zresztą wierszyk „Wybory“ tak był lichy, że powędrował do kosza.

— **Panu J. G. w Cz.** — Jeżeli dłużnik za meble zapłacić nie chce w dobry sposób to go trzeba zaskarżyć do tego sądu okręgowego, w którego obwodzie mieszka.

— **Panu P. P. w D. (Górny Śląsk).** — Owszem zastosujemy się do życzenia Szan. Pana i już w następnym numerze zamieścimy pieśń z nutami.

— **„Harmonii“ w Krobi.** — Notatkę o zeszłoniedzielnej wieczornicy otrzymaliśmy za późno!

— **Panu Em. Cha. w S.** — 1) Nie, ale muszą być piśmienne zaproszenia **imienne i odpowiednia ścisła sumienna kontrola przy drzwiach sali, aby ani jedna osoba obca tj. niezaproszona nie weszła.** 2) Nie. 3) Nie. 4) Tak.

Od Ekspedycyi.

— **Prośba. Potrzebny jest nam bardzo numer 13-ty „Pracy“ z dnia 30-go marca 1902-go roku i to kompletny z znajdującą się w nim powieścią „Męczennica w koronie.“ Kto numer ten posiada, niech nam go zechce nadesłać, a chętnie mu za to wynagrodzimy. Bez wzmiankowanej powieści numer ten nie ma dla nas wartości.**

Reklamy.

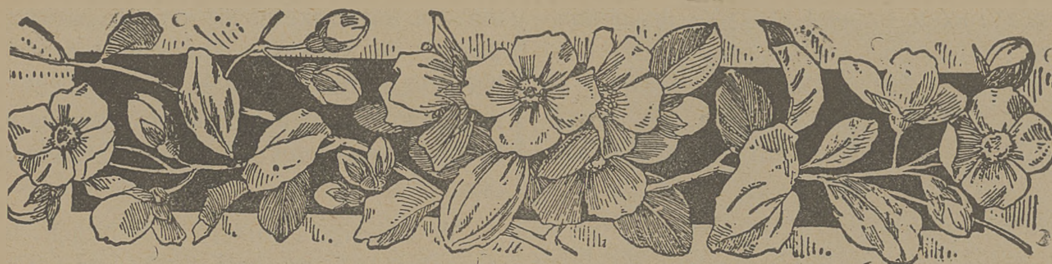
Zwracamy uwagę na ogłoszenie p. **Heleny Chojnackiej,** której zleconem zostało jedyne zastępstwo na miasto Poznań nowej berlińskiej akademii kroju Weinberga nadzwyczaj ułatwionego. W zimowym kursie urządzonym przez samego dyrektora celem zaprowadzenia tegoż wzięło udział 270 pań, przeważnie Niemek i żydówek; byłoby pożądanem, aby nasze polskie panie z tym krojem się zapoznały, tym więcej, że cena jest nader przystępna.

Baczność!

Kto nie zaabonował dotychczas „Pracy“, może ją teraz zapisać na miesiące **maj i czerwiec.**

Przedpłata na maj i czerwiec wynosi 1 markę.

Kwity pocztowe na miesiące maj i czerwiec zamieszczone są pod okładką.



Przedstawienia pasyjne w Oberammergau.

Skreślił

Ks. Józef Małecki.

III.

Tekst i muzyka do przedstawień pasyjnych w Oberammergau.

Kto właściwym jest autorem tekstu pierwotnego do dramatu pasyjnego w Oberammergau — trudno dociec, Ogólne mniemanie opiewa, że powstał on przez złączenie dwóch tekstów. Jeden z nich pochodzi rzekomo z klasztoru Benedyktynów w Augsburgu, drugi prawdopodobnie obszerną jest przeróbką pierwszego, którą zajął się śpiewak nadworny Sebastyan Wild. Później złączono obydwa manuskrypty w jedną całość, która przez mnichów z Rottenbuch dostała się do Oberammergau. Tekst ten podlegał nieustannym zmianom, poprawkom, rozszerzeniom lub skróceniom. Po roku 1810 opracował go na nowo wielce uzdolniony Ottmar Weiss, nadając mu szatę jednolitego stylu. Uczeń Weissa, ksiądz Daisenberger, który od roku 1845 do 1869 był proboszczem w Oberammergau, zrewidował tekst ponownie, poprawił i ubrał go w formę, która zachowała się aż do dnia dzisiejszego. W r. 1860 pierwsze według tego tekstu odbyło się przedstawienie. Ksiądz Daisenberger zatrzymał dotychczasowy podział na 17 aktów; mnóstwo zdań jednakże skrócił lub skreślił zupełnie, role ważniejszych zaś osób rozszerzył. Także partyom śpiewanym nadał on odpowiedni rytm i rym. Tekst ten przechował się bez żadnych zmian aż do dzisiaj, aczkolwiek różne siły literackie, pragnące zabłyszczeć sławą autorską, zgłaszały się do zarządu w Oberammergau z propozycyą przerobienia i zreformowania go według współczesnych wymagań scenicznych. Oberammergau jednak stanowczo jest przeciwnem zmodernizowaniu dramatu. W r. 1900 ogłoszono manuskrypt księdza Daisenbergera pierwszy raz drukiem.*)

*) Offizieller Gesamt-Text des Oberammergauer Passionsspieles 1900. Oberammergau: Heinrich Korff (dziś już nie istnieje) München C. v. Lama's Nachf. (H. Korff) Preis 1 Mark.

Tekst oryginalny często zaczepiano w pismach publicznych, mianowicie w r. 1890 stał się przedmiotem zajadłych dyskusyj i ostrej polemiki w tygodnikach i miesięcznikach. Literaci w nielitościwy sposób krytykowali kruchy fundament dramatu religijnego i lichą jego budowę, wskazywali na nielogiczne wiązania poszczególnych scen i aktów, gorszyli się wierszowaniem i błędami stylistycznymi.

Osnowa dramatu rozpoczyna się głośną i hałaśliwą sceną, w której Chrystus Pan wypędza z świątyni kupujących i sprzedawających. Zdaniem krytyków scena ta wywołuje co prawda oburzenie i rozgoryczenie w umysłach przekupniów, nie jest jednakże motywem dość silnym, żeby mogła pchnąć akcyę dramatyczną potężnymi ruchami naprzód. Zbyt słaba w przestankach swoich ekspozycya nie uzasadnia dostatecznie szatańskiej nienawiści ani motłochu ani władz kompetentnych, żądających ukarania, męki i śmierci Nazarejczyka. Lubo budowa cała chroma w organicznych częściach, lubo całość nie rozwija się prawidłowo na podstawie utartych reguł, dramat pasyjny w Oberammergau zachowa zawsze swoją wartość i doniosłość.

Zważyć należy, że Oberammergau nie jest teatrem dla modernistycznych, według współczesnych wymagań z żelazną konsekwencyą i wyrafinowaną logiką skonstruowanych utworów, a przedstawienie pasyjne nie żadnym dramatem klasycznym.

Gościom, przybywającym do Oberammergau nie w intencyi, żeby następnie pisywać ostre krytyki i uczone rozprawy, lecz w charakterze pobożnych pątników, którzy pragną mieć nadzwyczajną ucztę duchową, lub w charakterze pospolitych widzów, którzy chcą zaspokoić swoją ciekawość i uraczyć się jedynym zabytkiem pamiątkowej odrębności kultury teatralnej, nie podpadnie ani słaba ekspozycya, ani licha budowa dramatu. Zadowolą się i zachwycać się będą formą osnowy dramatycznej, jaka ukazała się drukiem po raz pierwszy w r. 1900.

Tekst prawdopodobnie żadnej już nie ulegnie reformie. Zbyt święte są dla mieszkańców Oberammergau słowa głęboko religijnego i bardzo wykształconego króla bawarskiego Ludwika II., który aranżujących przedstawienia pasyjne upominał kilkakrotnie, żeby o ile możności uszanow tradycyę tekstu i odrzucali wszelkie propozycye zmodernizowania dramatu.

* * *

Muzykę do dramatu pasyjnego w Oberammergau skomponował Roch Dedler, urodzony tamże w r. 1779. Chórowym jeszcze będąc chłopcem w klasztorze w Rottenbuch, odznaczał się wielką pilnością w naukach i szczególniejszem zainteresowaniem się muzyką. Rodzice posłali go na wyż sze studya do Monachium, wyr gorące życzenie, ażeby poświęcił się stanowi duchownemu. Fenomenalnym głosem basowym wprowadzał młodzieniec całe otoczenie w podziw i w zachwyt. Obdarzony nieposopolitym talentem kompozytorskim skomponował, mając dopiero lat 20, operetkę na cześć przyjęcia elektora Maksymiliona I. w stolicy bawarskiej. Utworem tym zwrócił na siebie ogólną uwagę. Premierę odegrano w teatrze monachijskim już w r. 1799. Zniechęcony trudnościami, na które był narażony kościół katolicki z powodu szykan z strony rządu, przejętego duchem józefinizmu, porzucił zamiar zostania księdzem i poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu. Powróciwszy po trzech latach do Oberammergau objął posadę — nauczyciela, kościelnego, kantora i organisty przy kościele farnym.

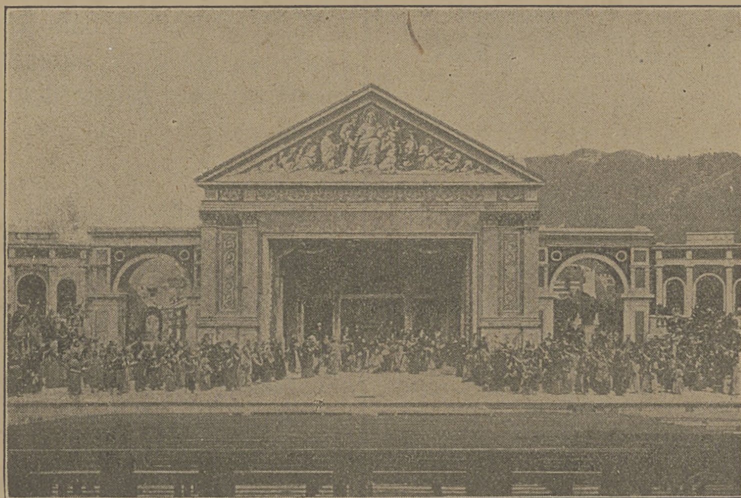
Na dowód jak bardzo ceniono sumienną pracę i wybitny talent Dedlera, niech posłuży fakt, że oprócz wolnego mieszkania i znacznej gratyfikacyi w naturaliach pobierał 686 marek rocznej pensyi — remuneracya na owe czasy bardzo wysoka. Zgasł przedwcześnie dla świata muzycznego, mając zaledwie lat 43. Pozostawił obfitą kolekcyę mszy, nieszporów, kantat i t. d., które odznaczają się bogatą fantazyą i przecudną miejscami melodyjnością.

Wyborną muzykę do dramatu pasyjnego napisał jednym zamachem w czasie od niedzieli ss. Trinitatis do Bożego Narodzenia 1814 r.

W niejednych partyach jest ona tak piękna i tak porywającą, że zachwyca się nią wielki zastęp znawców i lubowników muzyki, wyrażając głośno uznanie i entuzyazm dla pracy De-

diera; nie braknie atoli i takich, którzy wzdrygając ramionami nazywają muzykę do dramatu pasyjnego „robotą partacza.“ Krytyka ujemna znajduje w kompozycyi dużo czczych frazesów i naiwnych zwrotów; zwolennicy zaś Dedlera stawiają go na równi z Haydnem lub Mozartem.

pczytorów napisał muzykę do dramatu pasyjnego. Do tej propozycyi obywatele Oberammergau zapewne nigdy się nie zastosują. Kochają oni zanadto Dedlera i zanadto są przywiązani do jego kompozycyj naiwnych i prostodusznych. Twierdzą, i zapewnie słusznie, że muzyka kompozytora,



Scena teatralna w Oberammergau w r. 1900.

Mimo zalet, kryjących się w muzyce, nie robiła ona dotychczas arcywielkiego wrażenia. Dotychczas bowiem okazała się obsada tak chóru jak i orkiestry za słabą; widocznie za mało liczono się z okolicznością, że całe przedstawienie odbywa się na wolnem powietrzu. Cokolwiek za szeroko w niektórych miejscach rozprowadzone motywy i zbyt wysoka pozycya sopranowych tonów nużąco działają na ucho słuchacza.

Niektórzy recenzenci radzili, żeby partye muzyczne zupełnie skreślić; oponujący jednakże wskazują na poważne zadanie, jakie ma muzyka, towarzysząca przedstawieniom dramatycznym; podkreślają oni, że muzyka jest faktorem pomocniczym, trzymającym na uwięzi wrażenie i uwagę publiczności oraz uspakającym nerwy, rozdrażnione zbyt efektownemi scenami.

Inni znowu radzili, żeby w miejsce nużących i mniej treściwych partyj wsunięto muzykę, zapożyczoną z innych dzieł Dedlera. Do rady tej zastosował się komitet teatralny przy urządzeniu ostatniego przedstawienia męki Pańskiej (1900). Uznanie i zadowolenie ze strony publiczności były dowodem, że rada była dobrą i praktyczną.

Ksiądz Schroeder, proboszcz w Oberammergau sądzi, że w miejsce partyj śpiewanych należałoby podłożyć znane pieśni kościelne, którebyśpiewano razem unisono, przez co, — jak mniema — powiększyłby się poważny nastrój. Inni wreszcie proponują, żeby jeden z nowoczesnych kom-

który w Oberammergau się rodził, żył i umarł, najodpowiedniejsza jest dla nich, ponieważ harmonizuje świetnie z sceną teatru wiejskiego i z przedstawieniem przez wieśniaków urządzonem. Muzyka, skomponowana dla dramatu pasyjnego w duchu modernistycznym przez Straussa, lub Pucciniego lub Czajkowskiego wywołałaby niezawodnie uśmiech ironiczny na ustach słuchaczy. Mógłby ostatecznie sprostać poważnemu zadaniu skomponowania odpowiedniej muzyki do przedstawienia pasyjnego wielce utalentowany Kienzl, albo złotoskrzydlany geniusz Nowowiejskiego.

(Dokończenie nastąpi).



Adam Piotrowski.

Powstanie i rozwój polsk. związków zawod. pod zaborem pruskim.

(Ciąg dalszy).

Ojcem duchowym tych związków był *Ferdynand Lasalle*. Urodzony jako syn żydowskiego kupca 11 kwietnia 1825 w Wrocławiu, zasłynął człowiek ten jako dzielny agitator, organizator, pisarz i mówca. W jego to głowie powstała myśl zorganizowania wielkich rzesz robotniczych w Niemczech, na wzór związków angielskich, nie dla tego jednak (jak go niektórzy posądzają) ażeby robotnikom dopomódz, lecz jedynie dla tego, ażeby się po ich barkach dostać do szczytu bogactw i sławy. Nie miały też związki te z początku podstawy socyalno-demokratycznej, ale podstawę nacyonalistyczną, niemiecką.

W dziesięciu mniejwięcej latach, bo do roku 1878 wzrosła liczba członków w tych związkach do 58 tysięcy. Było to już po ugodzie dwóch silnych prądów socyalistycznych w związkach, dwóch partyj znanych pod nazwami Lasalczyków i Ajzenachczyków (od miasta Eisenach). Połączenie i zgoda tych dwóch zwalczających się dotąd obozów, niezmierny wzrost związków zawodowych, napełniły rząd niemiecki obawą. I z tego to powodu ówczesny kanclerz niemiecki Bismark, przedłożył parlamentowi projekt praw przeciwsocyalistycznych, praw wyjątkowych, na który się parlament na dniu 21 października 1878 zgodził. Lecz jak każde prawo wyjątkowe chybia celu tak i w tym przypadku wywołało ono wprost przeciwny skutek. Widząc byt swój nowem prawem zagrożony, porozwięzywano *pro forma* stare organizacye i stowarzyszenia a zakładano nowe, jakoby na gruncie bezpartyjnym, wielka zaś część pracowała tajnie, tak, że rząd, widząc się zawiedzionym w swoich nadziejach, zniósł to prawo wyjątkowe po blisko jedenastu latach istnienia na dniu 21 stycznia 1889 r. Że skutek wydanej tak przeciw partyi socyalistycznej jako związkom zawodowym na gruncie socyalistycznym stojącym ustawy był zamierzonemu przeciwny, wskazuje najlepiej wzrost liczby członków związków centralnych. Bo kiedy, jakeśmy wyżej zaznaczyli, liczba członków w r. 1878 58 tysięcy wynosiła, to przez czas trwania prawa wyjątkowego, wzrosła do przeszło sto tysięcy. W roku 1895 istniały już 53 związki centralne, z liczbą 260 tysięcy członków, w tem przeszło 6 tysięcy kobiet. W roku 1906 posiadały związki centralne potężną armię zorganizowanych robotników w liczbie 1 799 293 członków. W jednym tylko roku 1905 wynosił przyrost członków okrągło 370 tysięcy. Według sprawozdania generalnej komisyi liczono w roku 1907 w 61 związkach centralnych 1 865 506 członków. Z powodu panującego w roku 1908—09 na polu gospodarczem przesilenia, przyrost był małoznaczny. Członków płci żeńskiej liczono w roku 1907 140 746. Dochód wszystkich związków centralnych razem wynosił w tym samym roku 51 396 784 mrk. Rozchód zaś 43 122 519 mrk. Majątek ogólny wszystkich związków centralnych wynosił 33 242 545 m. Najliczniejsze i najbogatsze z związków

centralnych są: związek metalowców 355 386 członków, murarze 192 582, pracujący w drzewie 149 501, następuje: związek robotników fabrycznych (134 tys.), tkaczy (121 tys.), górników (112 tys.) i t. d. Urzędników do kierowania całą machiną związkową posiadają związki centralne około 1000, w tem kilku Polaków. Gazet związkowych wychodzi 76, w tem dwie polskie („Oświata“ w Poznaniu i „Gazeta Górnicza“ w Bochum). Pisma niemieckie wychodzą pod najrozmaitszemi nazwami jak „Grundstein“ dla murarzy, „Vereinsanzeiger“ dla malarzy, „Zimmerer“ dla cieśli itd. Naczelnym organem jest „Correspondenzblatt“, wydawany przez generalną komisyę w Berlinie. Wydawanie wymienionych pism pochłania sumę dochodzącą do 2 milionów marek. Na strejki i lokauty wydano w roku 1906 blizko 14 milionów marek. Tę samą mniejwięcej sumę wydano w roku 1907. Na chorobę w tym samym roku wydano 3 482 822 marki. Pośmiertnego wypłacono około miliona marek. Procentualnie dzieli się rozchód w roku 1907 jak następuje: walki zarobkowe 30,3 proc.[1]) reszta na inne wydatki. Chcąc być sprawiedliwym, trzeba przyznać, że na ogół porządek i rygor mają swe miejsce w związkach centralnych. Zachodzą tu i owdzie nieformalności, lecz tych już nie można kłaść na karb związku jako takiego. Krytyki godnem atoli jest postępowanie tych związków odnośnie ich urzędników pod względem agitacyi. Jest ona wprost niesumienną, nieuczciwą. W niejednych wypadkach nawet terror wielką odgrywał rolę. Zdarzało się to szczególnie w okolicach polskich, gdzie członkowie Polacy uprawiali terror najgorszego pokroju. Według obecnych jednak stosunków można przypuszczać, że sprawa zmieniła się na lepsze, szczególnie w miejscowościach, gdzie się z liczbą członków polskiej organizacyi należy liczyć.

Daleko później, bo dopiero w latach dziewięćdziesiątych zjawiają się na widowni związki z nazwą „chrześciańskie“ (Christliche Gewerkschaften). Organizacyę tę założono w celu odciągnięcia robotników niemieckich od związków socyalistycznych. Dążenie chybiło jednak w wielkiej części celu. Odebrano coprawda dość pokaźną część, lecz nie w tej mierze, jak się tego spodziewano. Ćwierć miliona członków wobec dwóch, to niezbyt korzystny stounek, a zważyć jeszcze trzeba trudności, jakie mają związki centralne ze strony rządu i

[1]) Większą część liczb statystycznych podaję według „Reichsarbeitsblatu“. (Rok 1908 zesz. 8.)



Zofia Sieniawska. **Zaczytana.**

przeciwników swoich politycznych, a dogodności i pomoc, jaką od rządu mają związki chrześciańskie, a także nie małą rolę odgrywa poparcie księży katolickich i pastorów protestanckich, dawane związkom chrześciańskim. Organizacya chrześciańska to mieszanina katolików i protestantów. Istniały już od lat dawniejszych luźne organizacye zawodowe, kierujące się światopoglądem chrześciańskim, lecz rzeczywista działalność związków chrześciańskich jako takich, rozpoczęła się dopiero w roku 1895. W roku tym istniało 80 miejsc płatniczych z 4-ma tysiącami członków. W niespełna dwa lata, bo w roku 1897 liczba ta się podwoiła.

Siedzibą centralnego zarządu jest Kolonia, lecz właściwem środowiskiem działalności było i jest dotąd München-Gladbach. Tam bowiem istnieje szkoła nauk socyalno-ekonomicznych. Ztamtąd też wychodzą wszyscy działacze związków chrześciańskich. Związek ten, mając, jak wyżej zaznaczyłem, zapewnioną pomoc kleru katolickiego jak i protestanckiego, a także częściowo i łaskawość rządu (chociaż nie zawsze i nie wszędzie), lecz mając z drugiej strony silnego i wypróbowanego przeciwnika w związkach centralnych, osiągnął (choć się coprawda więcej spodziewano) dość pokaźną liczbę członków, jako też znaczne zasoby kasowe. Według sprawozdania za rok 1907[2]) liczyły związki chrześciańskie 365 243 członków, z której to liczby jednak odchodziło 80 594 na związki, które do *ogólnego* związku się nie zaliczały (pomimo że były „chrześciańskie“). Jak niedokładnem jest to zestawienie, wynika z tego, że do związków chrześciańskich

[2]) Centralblatt der chr. Gewerkschaften 15 czerwca 1908.

(niemieckich) zaliczono także polski „Związek wzajemnej pomocy“[3]) na G. Śląsku. Druga niedokładność jest w tem, że związkowi temu liczono 11 tysięcy członków, a w rzeczywistości było niespełna 6 tysięcy.

Dochód ogólnego związku wynosił podług tego samego sprawozdania 4 311 495 mk., rozchód zaś wynosił 3 193 978 marek. Majątku było w wszystkich kasach ogólnego związku 3 487 735 mk.

Do najsilniejszych i najzasobniejszych związków pod względem zawodowym zaliczają się górnicy, według wyżej podanego sprawozdania posiadający 74 tysiące członków, w tem około 8000 Polaków (Bredt: Polenfrage im Ruhrkohlengebiet. Lipsk 1909. Str. 53). Stan kasy wynosi 785 tysięcy mk. Dalej związek metalowców z liczbą 28 tysięcy członków i 585 tysięcy marek w kasie. Związek tkaczy posiada 40 tysięcy członków, lecz tylko 370 tys. mk. majątku. Szeroką agitacyę rozwinęły związki chrześciańskie w dzielnicach z ludnością polską, szczególnie w Księstwie i w Wetfalii. Pierwsze próby w Księstwie podjęto już w roku 1898. Przyszło nawet w łonie samego społeczeństwa polskiego do ostrych starć, o czem później obszerniej pomówimy. Dla robotników polskich ustanowiono osobnych urzędników, wydawano i dotąd się jeszcze wydaje osobne pisma polskie. W Essen wychodził dla górników „Górnik polski“, dla innych zawodów wydawano w Poznaniu „Przyjaciela robotników“. Od lutego 1909 przeniesiono obydwa pisma na Górny Śląsk, gdzie obecnie wychodzą pod jedną redakcyą. Jak długo wychodzić będą, zależy od członków Po-

[3]) Który się później przyłączył do Zjednoczenia Zawodowego Polskiego.

laków jak długo do organizacyi niemieckiej należeć będą. Że pomimo szalonej agitacyi, a nawet pomocy niektórych polskich księży w Księstwie, związek ten wśród robotników polskich nie wielkie poczynił postępy, wskazuje istnienie liczebnego w członków i zasobnego w kapitały „Zjednoczenia Zawodowego polskiego.“

Nie starczyły jednak robotnikom niemieckim związki *chrześciańskie*, zaczęto tworzyć związki *katolickie* i to z obawy, że robotnicy stykając się z innowiercami dla wiary katolickiej oziębną. Co do potrzeby tych związków można być rozmaitego zdania, bo jeżeli się robotnicy przy pracy, gdzie się przecież więcej stykają z ludźmi rozmaitych zapatrywań pod względem wiary nie zmienią, natenczas, należąc do związku, obawiać się tego nie potrzebują. Alež to samo powie niejeden dzieje się z robotnikami polskimi! I oni mogliby należeć do związków socyalistycznych lub chrześciańskich! pocóż więc zakładają sobie związki na gruncie narodowym? Tak, lecz co innego wiara, a co innego *narodowość*.

Obawę o utratę wiary, można by jedynie mieć w związkach socyalistycznych, ponieważ tam już z zasady lekceważą religię, lecz nie można tego powiedzieć o związkach chrześciańskich. Więc i Polacy co do religii obawiali się tylko socyalistów, do chrześciańskich związków zaś nie garnęli się z powodu obawy powolnej utraty swej narodowości, którą szanować i kochać mają nietylko prawo, lecz także obowiązek.

A nie da się zaprzeczyć, że na germanizacyę byłby każdy Polak narażony, bo na zebrania przyjeżdżali sami tylko niemieccy mówcy, polskich mówców było brak, a ci, którzy byli, przemawiali tak lichą polszczyzną, że nawet mniej uświadomionemu robotnikowi niepodobnem było referatów do końca wysłuchać.

Gdy więc Polacy byli zupełnie uprawnieni i usprawiedliwieni zakładając odrębne związki, nie można tego samego powiedzieć o robotnikach niemieckich, którzy się zabrali do tworzenia *związków katolickich* t. zw. *Katholische Fachabteilungen*. Tam właśnie nie było potrzeby rozdrabniania i tak już rozdrobnionych sił roboczych. Siedzibą tych związków jest miasto Berlin. Tam też największą rozwijają agitacyę. Również na Górnym Śląsku zapuszczają sieci. Związki te nie są związkami rzeczywistymi a raczej towarzystwami zapomogowemi w razie choroby, śmierci itp. Walki z kapitalistami o polepszenie bytu robotnika nie prowadzą, strejki uważa się tam za coś zdrożnego, a co jeszcze gorsze, że w wielu wypadkach dostarczają te właśnie związki chętnych do pracy t. zw. łamistrejków. Świeży dopiero przypadek zdarzył się w lipcu 1909 na Górnym Śląsku, gdzie związki chrześciańskie i socyalistyczne żądały podwyższenia płacy dla murarzy i cieśli a związek katolicki podpisał umowę na starych warunkach. Dopiero przez dłuższą walkę zarobkową przeprowadziły dwa wymienione związki swoje żądania.

Związki te, bez żadnej ujmy dla nich, można zaliczyć do *„związków żółtych“*, które od niedawnego czasu ogromnie się w Niemczech zaczęły rozszerzać. Dziwna ta nazwa związków „żółtych“ pochodzi z Francyi. W roku 1901 strejkowali w miejscowości *Creuzot* górnicy. Taktyka i postępowanie socyalistów, niepodobały się bardzo wielu z biorących w walce udział. Przyszło do nieporozumień a w końcu do rozłamu. Kiedy przeciwnicy socyalistów obradowali w pewnym lokalu nad warunkami ugody z pracodawcami, socyaliści z zemsty powybijali szyby kamieniami. Potłuczone szyby pozalepiano w prędkości papierem i to — żółtym, nie mając innego pod ręką. Ztąd powstała nazwa „żółtych“, odnosząca się najprzód do robotników samych a później przeniosła się także na powstałe z ramienia robotników związki żółte *„les syndicats jeunes“*. Lecz pomiędzy żółtymi związkami francuskimi a niemieckimi wielka istnieje różnica. Bo kiedy w Francyi związki żółte założyli sobie robotnicy sami, robotnicy, którym się gospodarka socyalistyczna nie podobała, to w Niemczech natomiast powstają związki żółte prawie że pod naciskiem pracodawców-kapitalistów. Przy pomocy jednostek znikczemniałych, które tylko własne dobro, osobistą korzyść mają na oku, tworzą rozmaici fabrykanci związki robotników „zadowolonych“, którymi w czasie walki wygrywają jako atut przeciw robotnikom „wymagającym“ za wiele, słowem „niezadowolonym“. Sprężystym pod tym względem agitatorem jest niejakiś *Lebius*. Wszystkie większe miasta niemieckie jak Berlin, Norymbergia, Essen, Augsburg, mają „organizacye“ żółte. Szczególnie ostatnie wymienione miasto cieszy się sławą pod tym względem. Wszystkich „żółtych“ związków razem jest coś około 75 tysięcy w Niemczech. W samym Berlinie podają liczbę na około 15 tysięcy. Wszystkie te „związki“, jakkolwiek się one nazywają, czy „wierni królowi“, „wiernopaństwowi“ należy uważać za wybujałość szkodliwą postępowi socyalnemu klasy robotniczej. (C. d. n.)



Dr. Stanisław Łabendziński.

Wykłady popularne.

A. IX.

Jakie zakony były w Polsce?

Do wielkiego wpływu i znaczenia, jakie duchowieństwo w Polsce zawsze miało, przyczyniło się znacznie współdziałanie zakonów, które zawsze gorliwie pracowały nad rozbudzeniem religijności i utrwaleniem zasad chrześciańskich w społeczeństwie polskiem. Już w pierwszej dobie chrześciaństwa sprowadzono do Polski zakon Benedyktynów, którego opactwo w Międzyrzeczu, Mogilnie, na górze Świętokrzyskiej, a szczególniej w Tyńcu wyposażono wielkimi obszarami ziemi i znacznymi przywilejami. Było to za panowania Bolesława Chrobrego. W sto lat później fundowane zostały na górze Sobocie pod Wrocławiem i w Czerwińsku nad Wisłą klasztory dla kanoników regularnych, a w kilkadziesiąt lat potem przez polskiego rycerza Jaksę, herbu Gryf, powracającego z pielgrzymki do Ziemi Świętej, klasztor Bożogrobców w Miechowie oraz prawie równocześnie, w r. 1140, w Brzeźnicy klasztor dla Cystersów, głośnego naówczas już na zachodzie zakonu. Klasztory cudzoziemców zaludniały się Francuzami i Niemcami, którzy jak najenergiczniej bronili się przed przyjmowaniem krajowców. Klasztory w Lesznie, Wągrówcu i Lędzie, założone wkrótce po jędrzejowskim przez mnichów z Altenburgu, koło Kolonii, otrzymały przywilej przyjmowania tylko Kolończyków do swego grona. Przywilej ten zniósł dopiero Zygmunt I. Mimo tego cudzoziemskiego charakteru miał zakon Cystersów wielkie cywilizacyjne znaczenie dla Polski. Budowa wspaniałych kościołów i klasztorów, zakładanie wzorowych natenczas gospodarstw rolnych, skrzętność i pracowitość mnichów w połączeniu ze skromnem ich życiem, musiały oddziaływać zbawiennie na ludność pogrążoną jeszcze w ciemnocie i barbarzyństwie. Obcy pochodzeniem i nie znający języka nie mogli oni wprawdzie zbyt skutecznie pracować nad posiewem słowa Bożego, ale samo zakładanie licznych kościołów musiało się przyczynić do rozszerzenia wiary świętej i ugruntowania zasad chrześciańskich. Tem tłomaczy się też wielką ilość fundacyj, które dla Cystersów w XII wieku i XIII zrobiono. Powstały klasztory ich w Sulejo-

I. Polska za Bolesława Krzywoustego*)



obejmowała prawie cały obszar dorzecza Wisły i Odry razem z ujściami tych wielkich rzek. Dzięki waleczności i zdolnościom organizacyjnym przodków Bolesława Krzywoustego wszystkie plemiona lechickie zostały połączone pod jednem berłem Piastów. Szczególne zasługi położyli tu Mieszko I., który w 906 roku przyjął wiarę chrześcijańską i syn jego Bolesław I. Chrobry, który panowanie polskie rozpostarł od Sali i Łaby w dzisiejszej Saksonii, aż po Dniepr na wschodzie, od Dunaju aż po morze Bałtyckie. Zdobycze te utraciła jednak Polska za następcy Bolesława Chrobrego, Mieszka II. — Niemniej jednak państwo polskie było obszerne i potężne. Obejmowało ono na południu Śląsk i Chrobacyę (dzisiejsza zach. Galicya), ziemie Polan i Kujawian (dziś Poznańskie), Mazowsze i Pomorze, a nawet wyspę Rugię opanował na jakiś czas Krzywousty.

Szczepy, zamieszkujące te kraje, pozostając szereg lat w jednej organizacyi państwowej, wytworzyły w sobie poczucie jedności narodowej; z nich wytworzył się naród polski. Te jednak ziemie polskie, które odpadły, straciły swój charakter polski. Fale germańskie, idące od zachodu pochłonęły i zniemczyły ludy lechickie, które od Polski odpadły. Tam, gdzie niegdyś Chrobry bił słupy graniczne, dziś ani śladu polskości nie zostało a dumne miasta niemieckie, jak Lipsk, Drezno, Berlin i Szczecin wznoszą się na miejscu dawnych osad słowiańskich. Na Krzywoustym kończy się pierwszy okres dziejów naszego narodu, okres świetności i siły, z jego śmiercią w r. 1138 rozpoczyna się okres podziałów, walk wewnętrznych, najazdów, póki znowu Władysław Łokietek i Kazimierz Wielki nie wyprowadzili państwa polskiego z toni i nie wrócili mu dawnej świetności.

*) W niniejszym numerze rozpoczęliśmy zamieszczać szereg dwunastu krótkich, illustrowanych mapami artykułów, zawierających historyczny opis Polski. — Przyp. Redakcyi.

---

wie, Wąchocku, a ok. r. 1185 opactwo w Koprzywnicy. W owym też czasie zostaje sprowadzony do Polski słynny już zakon Dominikanów, choć świeżo dopiero założony i w krótkim stosunkowo czasie powstał cały szereg klasztorów dominikańskich: w Krakowie, Sandomierzu, Poznaniu, Płocku i Lwowie. Narodowy polski charakter zakonu tego kaznodziejskiego i bezpośrednia styczność jego z ludem, wpływały widocznie bardzo korzystnie na całą jego działalność. Żaden z dotychczasowych zakonów nie zdołał mu pod tym względem dorównać żaden nie poniósł tak, jak on wiary i cywilizacyi na Wschód, żaden nie wzbudził tyle zapału i prawdziwej a głębokiej pobożności. Po napadzie tatarskim sprowadzony został do Polski zakon Franciszkanów, oraz pierwszy w Polsce zakon żeński Klarysek w Zawichoście oraz Starym Sączu i Gnieźnie. W Trzebnicy zaś na Śląsku został w r. 1219 za ogromną na one czasy sumę 30.000 grzywien wykończony gmach klasztoru Cystersek. Nawrócenie Litwy r. 1386 i pozyskanie krajów ruskich otwierają dla zakonów nowe pole do działania i kiedy w Polsce na miejscu dawniejszego pobożnego ducha inne powstają prądy, udają się razem z zastępami rycerstwa polskiego na wschód Franciszkanie, Benedyktyni, Dominikanie i Bernardyni jako roznosiciele wiary katolickiej i pionierzy zachodniej cywilizacyi. O nowych fundacyach słyszymy nie wiele. W XIV. wieku ufundowano dla Paulinów klasztor w Częstochowie, słynny na całą Polskę, a w XV. dla Bernardynów, który to tak sympatyczny i lubiany u nas później zakon w Krakowie przyjęto z zapałem, we Lwowie zaś z wielką niechęcią. Mimo to zakon odrazu rozwijał się pomyślnie i zyskiwał coraz więcej zwolenników. Szybko powstawały nowe klasztory Bernardynów, w Lublinie, Przeworsku, Łowiczu, Poznaniu i innych miejscowościach. Z późniejszych zakonów wsławiły się u nas przedewszystkiem jeszcze dwa: Jezuitów i Pijarów. Pierwszy z nich, wprowadzony do kraju głównie za staraniem ks. Skargi podczas panowania Stefana Batorego dla wyparcia szerzącego się protestantyzmu w Polsce nieocenione w tym względzie przyniósł narodowi korzyści, drugi zaś wsławił się w 18-ym wieku przez zakładanie szkół wzorowych, opartych na postępach wiedzy nowożytnej, będących naonczas największej wobec niskiego stanu oświaty pożądanemi dla gwałtownie odczuwanej potrzeby reformy kraju.

Z dziejami kościoła łączy się ściśle rozwój nauk i szkół w Polsce, bo oświata w wiekach średnich spoczywa

głównie i wyłącznie nieomal w rękach duchowieństwa i rzadko kiedy wychyla się poza obręb murów klasztornych. Wśród ciągłych wojen i najazdów, wśród mozolnej pracy na chleb powszedni, wśród ogólnej niepewności stosunków nie było czasu i miejsca dla zajęć literackich i naukowych. Usiłowania ludzkie były zwrócone całkiem ku praktycznej stronie życia, podczas gdy nauka wtenczas praktycznych korzyści nie dawała. Wykształcenie otwierało jedynie drogę do stanu duchownego, w codziennych stosunkach znaczyła więcej wyrobiona siła fizyczna i dzielność osobista, niż najdokładniejsza znajomość szczupłej w owych czasach literatury klasycznej, na której wszelkie umiejętności się opierały. Cela klasztorna zatem jest w wiekach średnich głównem ogniskiem nauki i cywilizacyi, a duchowieństwo wykonuje wyłącznie urząd nauczycielski i spełnia misyę cywilizacyjną względem społeczeństwa, pogrążonego w barbarzyństwie i ciemnocie. Tym to klasztorom zawdzięczamy także najstarsze zabytki naszego piśmiennictwa, tam spisywano pierwsze dzieje naszego kraju w słynnych rocznikach czyli latopisach, na których kronikarze i właściwi historycy późniejsi się opierając odtworzyli nam barwny opis najstarszej epoki historyi naszej, któraby inaczej wobec rzadko naonczas posiadanej sztuki pisania na zawsze może pozostała dla nas ukrytą. Z pierwszych pomników literatury polskiej klasztorom zawdzięczają zachowanie ich dla potomności: Kazania Świętokrzyskie, Psałterz floryański, Biblia królowej Zofii, Książeczka Jadwigi, Psałterz puławski i Kazania gnieźnieńskie. Jeśli więc zważymy, że zakony w trzech szczególnie względach oddały Polsce niepospolite usługi, jako założyciele pierwszych szkół, wydawcy książek (przed wynalezieniem druku) jako i szerzyciele cywilizacyi polskiej na wschodzie, trzeba, chcąc być sprawiedliwym, większej ich części oddać należytą cześć i zasługi ich około wzrostu i potęgi kraju należycie ocenić. Rozbiory kraju stały się i dla zakonów w Polsce kresem ich bytu, większa część została przez mocarstwa ościenne rozwiązaną a olbrzymie majątki uległy konfiskacie. Prowadzenie i dozór szkół przeszedł całkowicie w ręce rządu, a zakonom odjęte zostało w końcu prawo dalszego bytu tak w Rosyi jako i w Prusach. Jedynie w Galicyi, przynależącej do katolickiej Austryi, istnieją jeszcze zakony, w których niektóre jak np. Jezuici w Chyrowie, do dziś dnia utrzymują zakłady naukowe. Przeważnie zajmują się one jednak dziś już tylko pielęgnowaniem chorych oraz praktyką religijną.



Niezgoda.

Przyszła znów cudna wiosna, słodka, jasna, lśniąca,
Przepychem barw bogata i złota od słońca
I wzięła w swe ramiona rozkochaną ziemię.
Lecz jestże wiosna wśród nas? Nie, nam w duszach drzemie
Zamogilny mrok czarny, co rychłą śmierć wróży
I piekło mamy w duszach i w sercach ryk burzy.
Nie ma w duszy ni w sercu harmonii przyrody,
Nie ma bratniej miłości, brak spójni i zgody,
Dzień wyzwolenia teraz jest więcej daleki,
Niźli był dla nas ongi, hen dawno, przed wieki.
Straszne: „Veto“ jak piętno legło nam na czole,
Że wcale już niepomni na naszą niewolę,
Nie chcemy znieść hamulca rozkiełznawszy chęci
I bratni spór i kłótnia nad wszystko nas nęci.
O, biada tym, o biada, którzy w własnem łonie
Zatapiają miecz niezgód, bo gdy gniew zapłonie
I gdy się przeciw sobie zbroją dłonie bratnie,
To wtedy w ostateczną popadniemy matnię.
A tam, patrzcie zwycięsko śmieją się z ukrycia
Władcy nasi, panowie wszechpotężni życia...
O jak zwycięskim śmiechem zadrgały im twarze
I jak w takt ich radości biją serca wraże.
Ach bracia moi, bracia, do zgody, do zgody,
Bo tylko takim cudem powstają narody,
Tylko zgody cud wielki mroczne spędza cienie
I rozrywa okowy niosąc wyzwolenie
I tylko tam pojmują cudnej wiosny czary,
Kędy w sercach umilkną, waśnie, kłótnie, swary.

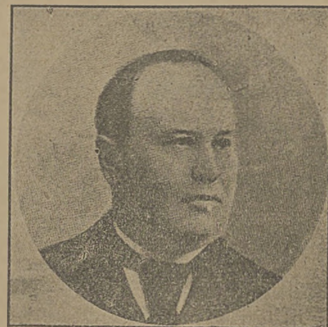
Tadeusz Mielcarzewicz.

Człowiek uczciwy jest ten, któren siły swoje pogodził z przedmiotami natury, zgadł jej zamiary.

Tomasz Zan.

Jubileusz filantropa wileńskiego.

Dnia 1-go bm. obchodzono w Wilnie gody sześćdziesięciolecia urodzin Józefa Montwiłła, znanego działacza społecznego oraz prezesa Koła litewskiego w Dumie. Obchód przybrał



Józef Montwiłł.

rozmiary wielkiej uroczystości, w której wzięli udział wszystkie instytucye dobroczynne, duchowieństwo, zarząd miejski, Bank ziemski itd. Zasługi społeczne Jubilata dla Wilna są wielkie i płodne; z jego inicyatywy i jego trudami powstały 22 instytucye filantropijno-społeczne.



Nowości beletrystyczne.

Eliza Orzeszkowa: Gloria victis. — Wilno 1910. Nakład W. Makowskiego.

Nowa książka przezacnej autorki „Nad Niemnem“, Elizy Orzeszkowej, to prawdziwe święto literackie. Coraz rzadziej pojawiają się nowe utwory Orzeszkowej, czemu dziwić się nie można: sędziwa autorka, zwykłą rzeczy koleją, nie może nas już tak obficie obdarzać jak dawniej. Zresztą Orzeszkowa dała społeczeństwu polskiemu tyle już dzieł dostojnych, pod względem artystycznym i ideowym doskonałych, tyle zawarła w nich głębokich myśli, tyle poruszyła kwestyj palących, tyle udzieliła zbawiennych rad skołatanemu narodowi, że imię jej dawno już zapisało się złotemi zgłoskami w literaturze i — w wdzięcznych sercach polskich. Pomimo to znakomita autorka „Meira Ezofowicza“ nie spoczywa i nie zażywa zasłużonych wywczasów, pracuje nieustannie, choć znacznie powolniej, niż za dawnych lat. „Już wieczór jest, a przy świetle zórz wieczornych prace ludzkie bywają niepewne, nawet trwożne“ — są własne słowa Orzeszkowej; jednakże odnosić je tylko możemy do ilości, a bynajmniej nie do jakości ukazujących się zawsze jeszcze utworów autorki. Wszystko bowiem, co po dziś dzień wychodzi z pod jej pióra, odznacza się nie-

spożytą siłą i młodzieńczym wprost zapałem. Nie znać tu ani brzemienia lat, ani spracowania. Stwierdza to na nowo najświeższa książka Orzeszkowej: *„Gloria victis.“* Tłem jej: powstanie roku 1863-go. Czasy te przedstawiają wogóle bogate źródło dla wszelkiej artystycznej twórczości i dziwić się należy, że pisarze nasi tak rzadko z niego czerpią. Dawniej przyczyniała się do tego niewątpliwie cenzura rosyjska, ale i po rozluźnieniu jej pęt nie przybyło literaturze wiele utworów osnutych na tle ostatniego powstania. Autorzy nasi zbyt skwapliwie i zawcześnie rzucili się na czasy „rewolucyjne“ doby najnowszej, gdy tymczasem tak ponętny temat jak rok 63-ci ciągle jeszcze leży odłogiem. Ale są i wyjątki. Jeden z nich zawdzięczamy właśnie Orzeszkowej.

Znakomita powieściopisarka zebrała w „Gloria victis“ w jedną całość pięć przepięknych nowel mających za przedmiot owe ważne dla narodu naszego wypadki („Oni“, „Oficer“, „Hekuba“ „Bóg wie kto“, „Gloria victis“). Nie potrzeba zapewniać, że tragizm tych wielkich chwil pod piórem Orzeszkowej nabiera wspaniałego wyrazu, że poświęcenie narodu i bohaterstwo jednostek w prawdziwem jaśnieje świetle. Zaraz w pierwszem opowiadaniu spotykamy szczytną postać Romualda Traugutta.*) Autorka wspomina tu jednakże o nim tylko mimochodem. Dobitniej maluje nam go w obrazku „Gloria victis“: „Wodzem ich był człowiek świętego imienia, które brzmiało: Romuald Traugutt. Pytasz, dla czego świętem jest to imię? Albowiem według przykazania Pana opuścił on żonę i dzieci, dostatki i spokój, wszystko, co pieści, wszystko, co raduje i jest życia ponętą, czarem, skarbem, szczęściem, a wziąwszy na ramiona krzyż narodu swego, poszedł za idącym ziemią tą słupem ognistym i w nim zgorzał... Widziałyśmy jego czarnowłosą głowę z oczyma myśliciela i uśmiechem dziecka. Oczy miał mądre, smutne; podobno bratem bliźniaczym mądrości bywa u ludzi smutek, a uśmiech świeży, perłowy, z kroplą słodyczy dziecięcej albo niewieściej. Przez śniade czoło palec tragicznych przeznaczeń wcześnie przeciągnął mu zmarszczkę surową, niekiedy aż groźną. I głos jego słyszałyśmy z brzmieniem, jak stad, dzwoniącem, rozkazującem, niekiedy aż groźnem. Tak grzmieć musiał w wąwozie Termopilskim głos Leonidasa... W orężnych sprawach ludzkich biegłym był, biegłość ta w dalekowidztwo wzrok mu zaostrzała, spostrzegał wyłaniającą się z za dnia ofiar i boju potworną, czarną noc. Jednak szedł i prowadził, bo taką była moc słupa ognistego, który wówczas nad ziemię wzbił się, taką tęsknota za obiecaną, oczekiwaną, za upragnioną, płomiennie kochaną krainą wolności, i takim był krzyż narodu jego, ciężki, nieznośny“...

Zdaje się, że czcigodna autorka poświęci temu bohaterowi narodowemu obszerniejszy utwór, pisze bowiem: „Ale nie o nim teraz opowiadać będę. O nim potem, długo. Długą być winna powieść o mężu wielkim, który po sobie zostawił imię głośne.“

*) Piękny pomnik wystawił temu bohaterowi Maryan Dubiecki w swojej książce: Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas powstania styczniowego 1863—64. Kraków 1907. Gebethner i Spółka.

W innych nowelach przedstawia Orzeszkowa po mistrzowsku ducha panującego w owym czasie; charaktery i sytuacye odtworzone są z wielką konsekwencyą i prawdą. Oto np. Polak oddany w jedenastym roku życia do korpusu rosyjskiego („Oficer“). Zdaje się, że duszą i ciałem zaprzedał się nowej swej ojczyźnie. Jako oficer rosyjski posłany do kraju polskiego, aby uspokoić „miateżników“, toczy ze sobą walkę we-


Eliza Orzeszkowa.

wnętrzną. Z początku ogarnia go złość na to wszystko, na co patrzeć musi, gniewa go, że garść ludzi „niewojennych“ bez armii, bez armat, występuje przeciw takiej potędze jak Rosya. Też to „samoubijstwo“, „czort znajet, szto takoje“. Ale w końcu zrozumiał, że potężniejsza od armat i jenerałów jest idea, że idea to nie „głupost“. Wstyd zdejmuje go na myśl, że on, Polak komenderuje wojskiem, które zabija jego braci. Z trudnej wielce kolizyi (z jednej strony czeka go awans jako nagroda za uśmierzenie „buntu“, z drugiej coraz silniej odzywają się wyrzuty sumienia, coraz wyraźniej dopomina się przynależność do ojczyzny polskiej o swoje prawa) wychodzi nasz oficer zwycięsko: oswobadza pokryjomu więźnia, którego czeka szubienica lub dożywotnie wygnanie na Syberyę, ratuje tego właśnie powstańca, któremu zawdzięcza duchowy powrót na łono matki—Polski; ale ponieważ czyn ten szlachetny jest zarazem zbrodnią wobec przybranej ojczyzny, Rosyi, uwalnia się śmiercią samobójczą od odpowiedzialności za zdradę wobec niej popełnioną... Ej, krwi, od rodu ojczystego w dziedzictwie otrzymana, jak ty czasem obojętnie po żyłach człowieczych krążysz, aż wzburzysz się i zapłoniesz zgryzotą śmiertelną!“

„Hekuba“ — to klasyczny niemal obraz boleści. Tu matka traci nietylko trzech synów (jeden ginie w powstaniu dwóch skazano na zsyłkę aż pod stopy Uralu), ale i córkę, która szuka „szczęścia w Petersburgu, łącząc się (choć niekoniecznie węzłem dozgonnym) z Rosyaninem, kniaziem Borysem. Więc nie dziw, że gorąca Polka na wieść tę ostatnią, bodaj najstraszniejszą, runęła na ziemię wydobywając ze siebie jęki podobne do wycia, „z jakiem niekiedy nad rozłogami śniegów latają zimowe wiatry“. Tak samo jęczała z żałości u zwalisk zburzonej Troi Hekuba, trojańskiego króla żona, po synach pobitych i córkach porwanych.

Obrazek „Bóg wie kto“ rozświetla na chwilę ponury horyzont książki. W nim rzuca autorka nieco jaśniejszą smugę światła na smutne tło dziejów owej wiosny. Jest to więc humoreska, ale nazwalibyśmy ją ze względu na okoliczności, w jakich się rozgrywa: „humoreską pośród łez“. Zresztą: życie jest zlepem gliny i marmuru, uplotem sznurów pereł i sznurków korali — powiada autorka tłómacząc, skąd pośród tragedyi bierze się śmiech. „Perłowe gamy śmiechu nad koralową strugą krwi, cień nocy na jutrzni porannej, cień grzechu na szacie anioła, na złotogłowie łzy, — skaczący i ubielony klown w ponurej celi smutku. Wszystko bywa i bywa razem, w jednym momencie czasu, w jednem sercu ludzkiem“.

A tytuł książki: *„Gloria victis“?* Więc nie *„vae victis“* pomimo prześladowań i ciosów bijących — zwłaszcza po klęskach ostatnich — jakoby taranem w mury gmachu narodowego? Nie, gdyż nie napróżno polała się krew bohaterska, nie darmo ponieśli ochotnie śmierć męczeńską mężni synowie Polski — ziarno ofiarowane na ołtarzu miłości ojczyzny zakiełkowało i w sercach następnych pokoleń roznieciło znicze narodowe. Więc pomimo ciężkich ofiar i nieszczęść, jakie spadły po owych latach na tysiące rodzin polskich: *„gloria victis!“*



Karol May.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu zyskały sobie ogromną popularność śród młodzieży, zwłaszcza niemieckiej, powieści podróżniczo-awanturnicze „dra“ Karola Maya, opisujące w trzydziestu już przeszło tomach niesłychane przygody we wszystkich częściach świata.

Co prawda, pedagodzy potępili elukubracye te, zarzucając im brak wartości pedagogicznej i podniecanie instynktów niezdrowych, autorowi zaś ich brak wykształcenia naukowego — pomimo to jednak popularność Maya bynajmniej nie słabła, trzeba bowiem przyznać, że pisarz ten posiada pomysłowość wielką, wyobraźnię nadzwyczaj bujną i potrafi grać na strunach umysłów dziecięcych, zawsze żądnych strawy fantastycznej. Nietylko więc „dzieła“ Maya pojawiały się w coraz

to nowych, przepysznie ilustrowanych wydaniach niemieckich, ale nawet przekładano je pospiesznie na inne języki, między niemi zaś także na polski.

Przed kratkami sądowemi w Charlottenburgu rozegrała się w tych dniach sprawa, wykazująca dotkliwie, że ów uwielbiany przez dziatwę „dr.“ Karol May, ów podróżnik nieustraszony jest poprostu plagiatorem, kompilującym powieści swe z dzieł innych autorów i kradnącym z dzieł tych nieraz całe ustępy, dalej, że jest oszustem, który używa nieprawnie tytułu doktorskiego, kupiwszy go w jakimś oszukańczym „uniwersytecie“ chicagoskim, a co więcej, że był złodziejem i bandytą, dwukrotnie karanym więzieniem kilkuletniem!

Do odkrycia wszystkich tych tajemnic sensacyjnych przyczynił się publicysta niemiecki i sekretarz t. zw. żółtych związków robotniczych w Niemczech, Rudolf Lebius, który, rozpocząwszy kampanię namiętną przeciwko Mayowi, nazwał go w liście otwartym do śpiewaczki operowej, panny von Scheindt, „urodzonym zbrodniarzem“.

Wobec tak mocnego epitetu, May wytoczył Lebiusowi proces o oszczerstwo, na co Lebius odpowiedział, gdy przyszło do rozprawy sądowej, przedstawieniem trybunałowi następującego „życiorysu“ głośnego autora:

May jest synem akuszerki z Hohenstein z Ernstthal. Uczęszczał do seminaryum nauczycielskiego w Waldenburgu, zkąd go wypędzono z powodu kradzieży. Później ukończył May inne seminaryum i został nauczycielem. Na święta wielkanocne przywiózł ojcu w upominku zegarek i cygarniczkę piankową, które, jak się później okazało, ukradł swojemu gospodarzowi. Za tę kradzież skazano Maya na 6 tygodni więzienia. Odzyskawszy wolność, skradł pewnemu kowalowi 50 wytrychów i rozmaite narzędzia, przydatne do włamywań. Odtąd żył tylko z kradzieży, aż go wreszcie przychwycono i skazano na 4 lata więzienia. Tu wykształcił się we wszystkich sztuczkach złodziejskich, któremi się później bardzo zręcznie posługiwał.

Opuściwszy więzienie, popełnił cały szereg kradzieży, a widząc, że mu grozi więzienie, uciekł w r. 1869 do gór Kruszcowych i krył się w tamtejszych lasach w okolicy Hohenstein. Tutaj spotkał dawnego towarzysza ze szkoły ludowej, Ludwika Kruegla, który uciekł z wojska, ukradłszy z kasy pułkowej 100 talarów. Obaj postanowili założyć bandę rozbójniczą. Przywódcą jej mianowano Maya. Za pomocą skradzionego płótna i mchu bandyci „wytapetowali“ grotę, położoną w lesie pomiędzy Gruenthalem a Langenbergiem i z niej napadali na przechodniów, zwłaszcza na kobiety, idące do miast na targi. Na potwierdzenie tych faktów podał Lebius cały szereg świadków i dokładne ich adresy.

Skutkiem napadów opustoszały targi miejskie, co spowodowało władze do urządzenia obławy na bandytów. Wzięły w niej udział, oprócz oddziału wojska, straż ogniowa z Hohenstein i Towarzystwo gimnastyczne z Ernstthalu. Wyłapano wszystkich oprócz Maya i Kruegla. Wymknęli się dzięki pomysłowości Maya. Pomiędzy wielu skradzionemi rzeczami znajdował się w grocie także całkowity mundur z czapką dozórcy więziennego. May ubrał się w ten mundur, skrępował Krueglowi ręce na plecach i pędził go przed sobą, jako zbiegłego złoczyńcę. W ten sposób wydostali się bez przeszkody z obławy i przeszli przez łańcuch posterunków wojskowych. Podczas drugiej obławy uciekli zręcznie przed konnymi żandarmami w ten sposób, że gdy żandarmi przyłapali ich w gospodzie wiejskiej, obaj wyskoczyli oknem i na koniach żandarmów, przywiązanych do płota, umknęli. Na te okoliczności przytoczył Lebius dwóch świadków, a mianowicie pastora Laubego z Drezna i panią Kiesow z Hohensteinu.

Wyrafinowanego oszustwa dopuścili się May i Kruegel, gdy przebywali w okolicy Altenburga, przebrani za geometrów. Wymierzali naówczas trasę rzekomej kolei, wiodąc ją o ile możności przez obejścia chłopskie. Przerażeni chłopi płacili sowite łapówki za przesunięcie trasy. Popełnili następnie długi szereg dalszych oszustw, aż wreszcie uciekli do Włoch. Ale w Medyolanie May zachorował ciężko i wtedy Kruegel powrócił do Niemiec. Schwytany, został skazany na 6 lat więzienia, z którego jednak zdołał uciec. Ale ujęto go ponownie i skazano na 22 i pół lat więzienia. Ułaskawiony w r. 1877 Kruegel pracował potem uczciwie, jako robotnik leśny, aż do r. 1908, w którym umarł. Nareszcie i May dostał się w ręce sądu, który go skazał na 4 lata więzienia. May odsiadywał tę karę od d. 3-go maja 1870 r. do d. 2-go maja 1874 w Waldheimie.

Wyszedłszy z więzienia, postanowił May pisać sensacyjne powieści na tle wspomnień bandyckich. Zarabiał z początku bardzo mało, a dochody jego wzrosły dopiero od czasu, gdy księgarnia Pusteta w Regensburgu zamówiła u niego pobożne opowieści podróżnicze. May pisał jednocześnie te moralne książki i pornograficzno-sensacyjne „romanse“. Złoto zaczęło się sypać, gdy owe opowiadania wydano osobno w książkach i gdy May zaczął pisać opowiadania dla młodzieży. May, jako autor, pozyskawszy pieniądze i sławę, zaskarbił też sobie przyjaźń wielu arystokratów, a listowne stosunki utrzymywali z nim nawet członkowie panujących domów.

Sąd, wysłuchawszy wywodów Lebiusa i zbadawszy przedłożone przez niego dowody, uwolnił go od winy oszczerstwa, stwierdziwszy, że dowód prawdy co do wszystkich zarzutów został przeprowadzony. Do wielu zresztą kradzieży i napadów bandyckich May sam się przyznał. Co się tyczy zarzutu, że May jest plagiatorem i wprost rabował cudze opisy, to wyrok sądowy powiada, że „pod względem literackim nie jest on bez zarzutu“.

Po druzgocącym tym wyroku osłabnie chyba uznanie, jakiem darzono tak długo prace rozgłośnego „podróżnika“.



LUBIĘ...

Lubię ten błękit modry nad nami,
Lubię te pola szumne zbożami,
Lubię te łąki kwietne woniące,
Lubię te ciemne lasy szumiące.

Lubię te nasze góry wysokie,
Lubię te hale, błonia szerokie,
Lubię strumyki w biegu szemrzące,
Lubię te rzeki, z szumem pędzące.

Lubię promienie złotego słonka,
Lubię małego w górze skowronka,
Lubię wiosenne ptactwa hejnały,
Lubię ten boży piękny świat cały.

* * *

Ludu siermiężny, ludu ty rolny!
Chociaż twój żywot twardy, mozolny,
Możesz się przecież szczycić swym stanem,
Boś, niezależny, swej woli panem!

Bo tobie boże słonko wciąż świeci,
Zboże się kłania, łąka się kwieci,
Szemrzą ci zdroje, szumią ci drzewa
I ptactwo hymny swobody śpiewa.

I bodaj tylko słońce oświaty
Do każdej wiejskiej zajrzało chaty,
A wtedy na swej ojczystej niwie
Szczęśliwym, ludu, byłbyś prawdziwie!

Ferdynand Kuraś,
chłop z nad Wisły.



ZAMIAR.

PORTRET.

Sześćsetna rocznica urodzin króla chłopków.



Jan Matejko. **Kazimierz III. Wielki, król chłopków.**

Rok bieżący 1910, obfituje w wielkie rocznice narodowe. Prócz tych, które corocznie obchodzimy, a więc powstań Kościuszki, listopadowego i styczniowego, prócz Konstytucyi 3-go Maja, przypadają w tym roku jeszcze dwa inne święta: sześćsetna rocznica urodzin króla chłopków Kazimierza Wielkiego w dniu 30-ym kwietnia i obchód pięćsetnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem w dniu 15 lipca.

Oba te wyjątkowe narodowe święta przypominają nam żywo najświetniejsze chwile z naszych polskich dziejów, oba dodadzą nam otuchy do dalszej pracy na polu społeczno-narodowem.

Król Kazimierz najlepszy gospodarz kraju, kładzie fundamenty pod gmach potężnej Polski, zaprowadza ład i porządek, podnosi bogactwo, ubezpiecza granice. Jagiełło w grunwaldzkiej bitwie kładzie na obie łopatki Krzyżaka, tego najniebezpieczniejszego wroga Polaków.

Miłe to dla nas pamiątki...

Ku uczczeniu pięćsetnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem wydamy w swoim czasie specyalny zeszyt, dziś ku uczczeniu sześćsetnej rocznicy urodzin króla chłopków, poświęcamy niniejszy artykuł pamięci jednego z naszych najlepszych i największych monarchów, który panował od r. 1333—1370, zatem lat 37.

* * *

Kazimierz III. Wielki, król polski, syn Władysława Łokietka i Jadwigi księżniczki kaliskiej, urodził się 30 kwietnia 1310 r. w Kowalu na Kujawach, odebrał staranne wykształcenie w domu i na węgierskim dworze króla Karola Roberta. Wróciwszy do kraju poślubił Aldonę, córkę Gedymina Wielkiego, księcia litewskiego i brał udział w zwycięskiej bitwie przeciw Krzyżakom pod Płowcami. Mając lat 23 objął rządy w Polsce po ojcu, który wśród walk i trudów zdobył je i umocnił siłą oręża.

Nie była Polska wielką, gdy Kazimierz nią rządzić zaczął, a przytem srodze spustoszona wojnami za Łokietka toczonemi. Poznał mądry monarcha, że przedewszystkiem trzeba Polsce pokoju, i dla tego wolał Pomorze i Śląsk utracić, niż nowe rozpoczynać boje. Zawarł więc pokój z Krzyżakami, na mocy którego odstąpił im Pomorza, zapewniając sobie zwierzchnictwo, a Krzyżacy oddali mu żyzne Kujawy, które dzierżyli zbrojną ręką. Ponieważ król czeski Jan rościł sobie prawa do tronu polskiego (jako następca Wacława), przeto zgodził się z nim Kazimierz w ten sposób, że Jan zrzekł się praw do korony polskiej, a Kazimierz zrzekł się praw do Śląska. Odtąd śląska kraina, Staropolską zwana, odpadła od pnia wspólnego, choć i tam żyje dotąd przeszło milion Polaków.

Zabezpieczywszy sobie Kazimierz Wielki tak drogiemi ofiarami pokój, zaczął kraj polski do kwitnącego podnosić stanu. Wiedząc dobrze o tem, że rólnictwo, przemysł i handel stanowią rzeczywistą potęgę i bogactwo narodu, starał się o udoskonalenie tych trzech dźwigni dobrobytu. Wziął król Kazimierz w szczególną swą opiekę włościan, broniąc ich przeciw nadużyciom panów. Ztąd zjednał sobie Kazimierz Wielki zaszczytną nazwę „Króla chłopków“.

Dawniej częściej panowały głody, niż w naszych czasach, gdyż choć gdzie się więcej obrodziło zboża, trudno było na inne miejsce dla braku dróg dobrych i odległości wielkiej przewozić płody rólnicze. Otóż Kazimierz, aby temu zaradzić, starał się o dobre drogi, budował także śpichlerze, w których podczas lat obfitych składał zboże, a podczas głodu rozdawał je między lud biedny.

Do chleba i sól potrzebna, dla tego i o sól starał się król Kazimierz, ulepszając kopalnie soli w Bochni i Wieliczce. Wydał nowe prawo żupnicze i rozszerzył znacznie te na cały świat sławne kopalnie, tak iż polska sól szła daleko za Polski granice.

Przemysł i handel wspierał Kazimierz rozmaitemi sposobami, a mianowicie przez obwarowanie miast, aby

rzemieślnicy bezpieczni byli przed napadami. Tyle zaś miast obwarował, umocnił, upiększył i założył, iż Kazimierz zwie się założycielem miast polskich. Ztąd kupcy i rzemieślnicy polscy szczególną czcią tego króla otaczać powinni. Łotrów, rozbójników, szkodzących mianowicie rólnictwu i handlowi, karał srogo i bardzo srogo, tak iż niejakiego Borkowicza za łotrowstwo i zabójstwa umorzyć kazał śmiercią głodową. Ściągał też Kazimierz z zagranicy osadników, dając im korzystne prawa, aby zaludniali puste obszary. Dla wspomożenia handlu wybudował gmach ogromny w Krakowie, zwany Sukiennicami, dotąd istniejący.

Nie prędko skończyłbym — pisze nasz sędziwy Jubilat Józef Chociszewski w „Dziejach Narodu Polskiego dla ludu i młodzieży" — gdybym chciał wyliczać wszystko, co Kazimierz Wielki dla podniesienia rólnictwa, przemysłu i handlu polskiego uczynił. Założył on też np. stadniny, aby mieć dobre konie, starał się o udoskonalenie kopalni srebra i ołowiu w Olkuszu i Sławkowie — słowem wszelkiemi sposobami pomnażał dobrobyt kraju.

* * *

Dobrobyt dla szczęścia pojedyńczego człowieka i całego narodu jest wprawdzie rzeczą niezbędną i konieczną, ale nie wyłączną, — owszem sama obfitość dóbr doczesnych (a tem jest dobrobyt) bez duchowych podpór jest zawsze arcyszkodliwą. Otóż potrzeba jeszcze koniecznie sprawiedliwości i oświaty dla utrwalenia szczęścia ludzkiego, a samo się przez się rozumie jako szczytu wszystkiego dobrego potrzeba i Wiary ś. Chrześciaństwo za czasów Kazimierzowych już się było w Polsce należycie utwierdziło, ale jak dobrobyt licznemi wojnami podupadł, tak samo nie dostawało sprawiedliwości i oświaty.

Wyjednawszy Kazimierz pokój i dźwignąwszy przedewszystkiem podupadłe rólnictwo, przemysł i handel, jął się najprzód pracy nad ugruntowaniem w swym kraju sprawiedliwości przez prawodawstwo. Stanął zatem r. 1347 wiekopomny statut wiślicki t. j. prawo uchwalone w mieście Wiślicy.

Dotąd panowały w Polsce różne prawa. Otóż Kazimierz Wielki przeprowadził w Wiślicy, iż na całą Polskę jedno tylko zobowiązywało prawo. Niełatwo to było zaprowadzić, dla tego dopiero ostatecznie roku 1368 na drugim zjeździe w Wiślicy statut ten więcej wydoskonalono i potwierdzono.

Miasta w Polsce rządziły się powszechnie prawem magdeburskiem czyli niemieckiem. Otóż i to prawo udoskonalił Kazimierz Wielki. Do jego czasów ważniejsze sprawy rozstrzygano w Magdeburgu i Hali. Zniósł on ten zwyczaj, ustanawiając w Krakowie sąd najwyższy. Tak więc gorliwie starał się król ten o ugruntowanie sprawiedliwości, która, jak starożytne głosi przysłowie, jest podwaliną wszystkich królestw.

R. 1364 założył Kazimierz wszechnicę, czyli akademię w Krakowie. Ponieważ później szkoła ta sławna podupadła, aż ją dopiero Jadwiga i Jagiełło odnowili, przeto po dziś dzień zwie się „Wszechnicą Jagiellońską", jednakże pierwszy początek dał jej Kazimierz Wielki. Było to ważne i wielkie dzieło, szerzące po dziś dzień oświatę w naszym narodzie. Tysiące Polaków czerpało, czerpie i czerpać będzie oświatę w tym przybytku nauk. Gorliwie zachęcał Kazimierz młodzież polską, aby ćwicząc się w umiejętnościach i cnotach, świeciła później światłem narodowi.



Jan Matejko.
Król Władysław Łokietek, ojciec króla chłopków.

* * *

Jakeśmy wyżej powiedzieli, zrzekł się król Kazimierz Pomorza i Śląska z wielką dla Polski stratą. Za to jednakże przyłączył do Polski Ruś Czerwoną, księstwo Halickie i część Wołynia z głównemi miastami: Lwowem, Haliczem, Przemyślem, Trębowlą i innemi. Kraje te odtąd na zawsze do Polski należały. Niemała to zasługa Kazimierzowa. Pozyskane kraje pod berłem wielkiego króla zakwitły widocznie. Ruś, wyludniona przez liczne wojny, wzrastała w ludność i bogactwa. Pamiętać należy, że po zgonie książąt ruskich, miał Kazimierz Wielki najbliższe prawa do Rusi.

Nie należało też podówczas do Polski Mazowsze, mające od śmierci Bolesława Krzywoustego osobnych książąt. Otóż jedną część Mazowsza Kazimierz żeby uznał nad sobą zwierzchnictwo króla polskiego. Tak samo i kraina wołoska Polsce hołdować zaczęła.

Przyłączył też Kazimierz do Polski ziemię wschowską i część Brandenburgii około Drzenia i Santoka (dziś po niemiecku Driesen i Zantoch zwane), które dawniej były od Polski oderwane.

* * *

Stan rólniczy, kmiecy, pracą rąk swoich inne stany żywiący, zasługuje na jak największe poszanowanie. Źle ten czyni, kto gardzi ludem wiejskim, a cześć temu, kto dla dobra i oświaty ludu się poświęca. Niesłusznie działo się dawniej w różnych krajach, że chłopa za nic uważano. Nie było wprawdzie tak źle w Polsce, jak gdzie indziej, jednak możni panowie nieraz lud uciskali. Zapobiegał temu, jak mógł, dobry król Kazimierz, biorąc lud wiejski i rzemieślniczy w szczególną swoją opiekę. Słuchał pilnie skarg i próśb włościan, a nieraz przebrany chodził po kraju, aby się dowiedzieć, jak się powodzi biednemu ludowi. Możnych panów karał za ucisk chłopów bardzo surowo. Zdarzyło się, że razu pewnego dwaj pankowie Pszonka Jasieńczyk i Oto z Szczekarzowic na polowaniu spustoszyli pola wieśniacze, a lamentujących nad krzywdą kmieci jeszcze obatożyli. Kazimierz nietylko dumnym pankom kazał szkodę wyrządzoną wynagrodzić, ale i chłostą ich przez tych samych chłopów, których ukrzywdzili, ukarać rozkazał. Tak sprawiedliwym i lud swój miłującym był król Kazimierz Wielki.

Słuchał on chętnie rad poczciwego Bruzdy, sołtysa we wsi Łobzowie, położonej obok Krakowa. Tam przebywał nieraz Kazimierz, aby wytchnąć po trudach panowania, a wtedy chętnie rozmawiał z Bruzdą o potrzebach włościan.

Błogosławioną niech będzie pamięć wielkiego naszego króla, że tak troskliwym był ojcem dla młodszej braci, a daj Boże, aby wszyscy zamożniejsi i światlejsi Polacy, pomnąc na przykład wzniosły Kazimierza Wielkiego, miłowali serdecznie lud wiejski i rzemieślniczy, braterstwo ścisłe z nim zawierając i dla jego dobra i oświaty pracując. Ale niech też i bracia włościanie i bracia mieszczanie idą śladami swego opiekuna i niech kochają szczerze Ojczyznę Polskę, którą tak wielce umiłował król Kazimierz. A tu niestety! taką nieraz oziębłość dla naszej matki Polski między włościanami się napotyka, iż nawet czę-

do Polski przyłączył, a drugą wprawdzie pozostawił księciu Ziemowitowi, ale pod warunkiem, aby hołd złożył, tj. sto niejeden chłop, niejeden rzemieślnik nie przyznaje się, iż jest Polakiem, a dla dobra wspólnego nie chce nawet tyle co czarne za paznokciem uczynić. Oby ta oziębłość raz przecież zniknęła, oby wszyscy Polacy, bez względu na to, czy są bogatymi lub ubogimi, uczonymi lub prostakami, wypełniali szczerze święte obowiązki względem narodu, które sam Bóg w serca nasze wszczepił.

Rozciągnął dobry Kazimierz swą troskliwość i na żydów, których wszędzie w Europie srogo prześladowano. Już dawniej żydzi w Polsce znaleźli gościnne przyjęcie, ale pod Kazimierzem uzyskali wielkie przywileje. Nie odwdzięczyli się za to Izraelici drugiej swej ojczyźnie, gdyż po nieprzyjacielsku naprzeciw Polakom występowali i występują.

* * *

Zaprawdę Kazimierz Wielki wielkich dzieł w Polsce podczas 37 letniego panowania dokonał. Dźwignął rólnictwo, przemysł, handel, nadał mądre prawa i dał początek sławnej wszechnicy krakowskiej. Zastawszy Polskę drewnianą, zostawił ją murowaną. Ozdobił i rozszerzył zamek królewski i katedrę krakowską, powznosił liczne grody i zamki na obronę kraju, wiele miast murami opasał, i liczne pobudował kościoły i klasztory.

Godzi się wspomnieć o wielkiej dobroczynności Kazimierza, która nawet po dziś dzień wydaje owoce. R. 1347 założył on w Krakowie Bractwo Pięciu Ran Chrystusowych i Najśw. Sakramentu. Obowiązkiem szczególnym braci jest odwiedzanie chorych, wspieranie ubogich i uczestnicwo w nabożeństwie w czasach oznaczonych. Bractwo to dotąd istnieje. R. 1851 posiadało 32,000 złp. majątku. Skruszyła się znaczna część budowli Kazimierza W., ale dobroczynność jego dotąd trwa i łagodzi nędzę biednych, dla których za życia miał zawsze otwarte serce.

Nakoniec r. 1370 dni 5 listopada zakończył wielki król swój żywot doczesny, gdy natomiast dzieła jego niespożyte wieki trwać będą. Płacz i smutek niezmierny opanował wszystkich Polaków na smutną wieść o zgonie dobrego króla. Janek z Czarnkowa, który opisał panowanie Kazimierza, pisze w swej kronice, że taki wtedy powstał w Polsce płacz i lament, poruszający do głębi serca, iż trudno byłoby to językiem ludzkim opowiedzieć. Wszyscy poznali, że stracili prawdziwego ojca narodu, ojca Ojczyzny. Od czasu Bolesława Wielkiego nie opłakiwano tak rzewnie i długo śmierci żadnego króla. Płakał mianowicie lud wiejski nad śmiercią dobrego króla i słusznie, gdyż już nie pojawił się później między królami polskimi taki dzielny ludu obrońca. Długie czasy chodzili włościanie przed grób dobrego króla i płakali, wzdychając na ciężką dolę.



Kazimierz Wielki.
Witraż w katedrze na Wawelu.

Z powodu odnowienia pomnika Kazimierza Wielkiego w 1869-ym roku w katedrze na Wawelu odkryto tamże zwłoki króla chłopków. Cała Polska na wieść o odkryciu kości Kazimierza Wielkiego zadrgnęła, jakieś przeczucie szczęśliwszej przyszłości ożywiło serca nasze i natchnęło naszego wielkiego poetę i malarza ś. p. Stanisława Wyspiańskiego do odtworzenia witrażu, którego podobiznę zamieszczamy.

Złożono zwłoki Kazimierzowe w katedrze krakowskiej, a nad niemi piękny później pomnik wzniesiono, wyobrażający w kamieniu osobę królewską. Na tym królu wygasł rów Piastów, który pięć wieków w Polsce rządził.

Kończymy to opowiadanie pięknym wierszem Wężyka o Kazimierzu Wielkim:

O największy z monarchów! ty, którego zwłoki
Zbyt rychło duch opuścił, porwany w obłoki!
Twa dłoń straszna dla zbrodni, dla cnoty łaskawa,
Dała nam przemysł, miasta, rękodzielnie, prawa,
Pokój wam i cześć wieczna drogie dla nas kości!
Możnaż winić twą słabość, dziwiąc się wielkości?
A łzy, które po tobie lud wylewał cały,
Są najpiękniejszą częścią nieśmiertelnej chwały.

Paula Wężyk.

DOM I RODZINA.

O, próżno szczęścia szukasz gdzieś daleko,
Próżno blask świata łudzi cię i mami,
Dni twego życia w tęsknocie pocieką,
A oczy smutku zaprószą się łzami.
Nie znajdziesz szczęścia ani ukojenia
Pośród stron obcych chociażby w przepychu,
Zawsze się z serca rwać będą westchnienia
I marzyć będziesz w skrytości, po cichu,
Gdy z zmierzchem szara nadejdzie godzina:
„Dom i rodzina, ach, dom i rodzina.“

Żaden szał zabaw tęsknot nie zagłuszy,
Nic nie zastąpi własnego kącika,
Poczujesz wtedy, jak zwolna, do duszy
Jad gorzkich zgryzot wsącza się i wnika,
A twe sumienie wyrzuci ci skrycie
Lata strawione bez celu, tak marnie,
Przed oczy stawi całe przeszłe życie
I znowu smutek i żal cię ogarnie
I wpośród marzeń minie znów godzina:
„Dom i rodzina, ach, dom i rodzina.“

Dom i rodzina, to własne ognisko,
To własny kącik wśród najdroższych osób,
Gdzie serce bije przy sercu tak blisko,
Gdzie na ból każdy jest balsam i sposób.
Dom i rodzina, to cicha ostoja,
To przystań szczęścia, to bezpieczna nawa,
Tutaj po trudach spocznie dusza twoja,
Tu miłość tylko ustanawia prawa,
Tu cicho w wieczność przechodzi godzina:
„Dom i rodzina, ach, dom i rodzina.“

Dom i rodzina, świat sam w sobie, mały,
Lecz wielki duchem, bo wznosi filary

Naszej przyszłości, gdy przeszłości chwały
Przelewa w serca — świętej uczy wiary
I wpaja w dusze hart siły i woli,
Umiłowanie tego, co jest nasze,
Czyniąc odpornym na to, co nas boli.
Więc czy to pałac, chata, czy poddasze,
Wszędzie niech pracy święci się godzina:
„Dom i rodzina, ach, dom i rodzina.“

Dom i rodzina, to podstawa bytu,
To nieśmiertelność twej krwi i imienia,
Dom i rodzina broni od przesytu
I snuje w przyszłość przeszłości wspomnienia.
O, nie odbiegaj twą myślą od domu
I utrudzony powracaj coprędzej!
Tu cię podźwigną z upadku i sromu,
Tutaj zaradzą i podniosą z nędzy,
Tu wśród gawędy spłynie ci godzina:
„Dom i rodzina, ach, dom i rodzina.“



Jeszcze Kometa Halleya.

Zapowiadane na rok bieżący zjawienie się komety Halleya stało się faktem dokonanym, a ona sama przedmiotem najtroskliwszych obserwacyj astronomicznych, wyłącznie jednak — jak dotąd — przy posiłkowaniu się teleskopem, nie osiągnęła bowiem jeszcze takiego stopnia jasności, aby być widzialną gołem okiem.

Najważniejszym momentem przy badaniu komet wogóle jest ustalenie daty znalezienia się ich w najmniejszej odległości od słońca, w t. zw. punkcie przysłonecznym. Do tego celu prowadzi przedewszystkiem poznanie kształtu i położenia ich drogi w przestrzeni, a jeżeli kometa należy do rzędu peryodycznych, to jest, jeżeli ruch jej odbywa się po elipsie, także określenie długości wielkiej osi tej elipsy.

Na podstawie dotychczasowych badań, datujących się od czasów Halleya i kontynuowanych dalej bez przerwy, wiemy, że długość tej osi sięga poza granice drogi planety Urana, przytem jeden jej koniec oddalony jest od słońca na 5 miliardów kilometrów, drugi na 90 milionów tylko. Na przebycie całej swej drogi zużywa kometa przeciętnie około 76 lat czyli, że przy najkorzystniejszych warunkach, człowiek może ją w ciągu swego życia oglądać dwa razy. Czas każdorazowego obiegu ściśle określić się nie da, a to z tego względu, że podczas drogi ulega kometa wpływowi planet, powodujących zaburzenia w jej ruchu, t. z. perturbacye, które bieg przyśpieszają lub go hamują. Dla tego też każdorazowy powrót komety wymaga specyalnych obliczeń, przystosowanych do poszczególnego ugrupowania się planet.

Tegorocznym powrotem naszej komety zajmował się już w roku 1836 Pontéceoulant i oznaczył datę przejścia jej przez punkt przysłoneczny na dzień 24 maja 1910 roku. Dwaj angielscy astronomowie z Greenwich, Crommelin i Cowell, opierając się na własnych obliczeniach, dokonanych przed kilku laty, powyżej oznaczoną datę przesunęli na dzień 16 kwietnia. Jak się następnie pokazało, i ta data nie była jeszcze dokładna, wobec czego musiała także uledz zmianie.

Oto we wrześniu 1909 roku Wolff w Heidelbergu, obserwując okolicę nieba, w której spodziewał się znaleść kometę, chwycił ją na kliszę fotograficzną, eksponowaną specyalnie w tym celu. Efemerydy jej, liczone wstecz, pozwoliły wykryć ją także na kliszy z dnia 24 sierpnia 1909 roku, nastawionej przez Knox-Show'a w obserwatoryum Helwan w Egipcie.

Jest to zatem najwcześniejsza data obserwacyi komety Halleya przy tegorazowym jej powrocie. Oznaczona według klisz pozycya jej na niebie pozwoliła poczynić poprawki w obliczeniach Crommelina i Cowella i ustalić ostatecznie datę przejścia przez punkt przysłoneczny na dzień 20 kwietnia 1910 r. około godziny 5 rano.

Na początku grudnia 1909 r. znajdowała się kometa w opozycyi ze słońcem, a odległość jej od tegoż wynosiła wtedy około 50 milionów mil, od ziemi zaś prawie 28 i pół milionów. Odległość od ziemi od tej chwili wzrastać zaczęła i wzrastała aż do 6 marca r. b., w którym to dniu osiągnęła 40 milionów mil.

Dnia 25 marca znalazła się kometa w górnem połączeniu ze słońcem, poczem przeszła na wschód i w początku kwietnia zacznie być widzialna na wschodniem niebie nad ranem.

W czasie przejścia punktu przysłonecznego odległość komety od słońca wynosić będzie 12 milionów, a od ziemi 24 milionów mil, przyczem wschód jej przypadnie przed godz. 3 rano.

Teraz kometa zacznie się oddalać od słońca, a zbliżać do ziemi, największe zaś zbliżenie przypadnie na dzień 20 maja i wyniesie trochę więcej, niż 3 miliony mil. Na krótko przedtem nastąpi przejście komety przez t. z. węzeł zstępujący, czyli punkt, leżący na linii z przejściem ziemi przez linię węzłów. W dniu tym przeto kometa, słońce i pewne punkty ziemi znajdą się na linii prostej. Wynikiem takiego zbiegu okoliczności mogą być dwa ciekawe zjawiska.

Dla tych mianowicie miejsc ziemi, które będą miały nad poziomem słońce, nastąpi przejście komety przez tarczę słoneczną, a cały proces odbędzie się w ciągu jednej godziny dnia 19 maja pomiędzy 3.45—4.45 rano. Obserwować będzie można to zjawisko w Azyi, Australii oraz na Oceanie Spokojnym.

Drugi ciekawy moment — to ogon komety, który będzie zwrócony ku ziemi. Kometa przejdzie przez węzeł o godzinie 11.30 przed południem 18 maja, ziemia zaś dotrze do linii węzłów następnego dnia o godzinie 5.30 rano. W chwili przejścia komety przez węzeł odległość ziemi od linii węzłów wyniesie 60,000 mil. Po minięciu węzła kometa opuści się pod płaszczyznę ekliptyki, a ziemia przejdzie ponad ogonem.

Jeżeli promień przekroju ogona w odległości ziemi, a więc w odległości 3,100.000 mil. od jądra będzie wynosił przynajmniej 60,000 mil. to ziemia znaleźć się musi w ogonie komety.

Mogą pojawić się wtedy efekty świetlane na niebie, widziane w tych częściach ziemi, które będą miały noc; twierdzić tego jednak stanowczo nie można.

Wracając do komety, zaznaczyć należy, że po opuszczeniu się pod ekliptykę widzialną ona będzie coraz lepiej i coraz dłużej na wieczornem niebie aż do połowy czerwca. Najkorzystniejsze warunki dla jej obserwacyi przypadają na czas od połowy kwietnia do 10 maja i od 19 maja do 15 czerwca.

Kometa zdradza obecnie ruch wsteczny, t. j. biegnie na prawo na spotkanie słońca.

W grudniu widzieliśmy ją w konstelacyi Barana, w styczniu — w Rybach, gdzie znajduje się do tej pory i gdzie się zatrzyma (oczywiście pozornie dla naszego oka) do połowy maja. Ruch wsteczny, coraz powolniejszy, trwać będzie do 24 kwietnia, poczem rozpocznie się ruch prosty, wzrastający.

15 maja wkroczy kometa napowrót do konstelacyi Barana, 18 maja do Byka, 20 maja minie Oryona i przejdzie Raku, 25 maja w Wężu morskim, 28 maja — w Sekstancie, u schyłku wreszcie tego miesiąca będzie już na półkuli południowej i zniknie całkiem z widowni, nawet dla teleskopów.

Warto jeszcze wspomnieć, że w dniu 8 maja rb. przypada całkowite zaćmienie słońca, wobec czego podczas dnia można będzie widzieć kometę w

całej jej jasności w pobliżu zaciemnionej tarczy słonecznej. Szkoda tylko, że pas tego zaćmienia położony jest w obszarach bieguna południowego i że punktów obserwacyjnych zjawiska szukać pozostaje jedynie tylko i wyłącznie w najdalej na południe wysuniętych krańcach Tasmanii.



Dział kobiecy.

Kobieta i biuro.

Od dawna istnieje u nas w pewnych sferach niechęć do pracy kobiecej w biurach. Podaje się, jako pewnik, że praca biurowa mężczyzn jest więcej produkcyjna, a co za tem idzie, więcej warta, niż praca kobiet. A dalej, jako bardzo poważny argument przeciwko zajmowaniu przez kobiety posad biurowych, przytacza się twierdzenie, że mężczyzna, pracując w biurze, walczy o byt i chleb powszedni, o utrzymanie licznej nieraz rodziny, kobieta zaś często obejmuje posadę dla zabicia czasu lub dla uzyskania pewnej kwoty na ubranie i drobne wydatki.

Pomijamy niesłuszność ostatniego twierdzenia, bo dzisiaj prawie nie spotyka się podobnego typu kobiet, dla których biuro jest tylko chwilowym epizodem w życiu. Lecz jeżeli mężczyzna utrzymujący z pracy biurowej rodzinę jest często wołem roboczym, ciągnącym jarzmo obowiązków ponad siły przez całe życie i jest jedynym chlebodawcą żony, dzieci, rodziców, sióstr i braci — dlaczego żony, siostry i córki nie mają mu być pomocą?

Są rodziny, w których każdy z członków jest jakby kółkiem w doskonałym mechanizmie zegara. Ojciec pracuje w fabryce, matka gospodaruje w domu, synowie zajmują posady, córki mają zajęcia albo w biurach, albo pracują jako nauczycielki — jednem słowem każdy przyczynia się do stworzenia w rodzinie znośnego bytu. Dzisiaj to już jest typ przeciętny rodzin zarobkujących, konkurencya kobiet, tak zwalczana przez wielu mężczyzn, dąży właściwie tylko do podziału pracy, do sprawiedliwego rozkładu obowiązków rodzinnych.

A teraz pozostaje sprawa wynagrodzenia pracy kobiecej. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że kobieta w porównaniu do mężczyzny jest tu krzywdzoną. Jako argumenty, usprawiedliwiające ten fakt, przytaczają, że kobieta, mając mniejsze potrzeby niż

Stary znajomy.

mężczyzna, zadowolić się może i mniejszem wynagrodzeniem. Podobnej opinii poważnie traktować nie można, gdyż każda praca powinna mieć w imię sprawiedliwości społecznej odpowiedni równoważnik w zapłacie bez względu na to, jakie pracownik ma potrzeby osobiste.

Przyznać jednak trzeba, że w dużej części same kobiety winny temu zdeprecyonowaniu wynagrodzenia. Ogromna liczba dyletantek nieprzygotowanych fachowo rzuciła się na pole pracy, jeszcze niewyzyskane, a dla kobiet dostępne, i przez to wytworzyła się konkurencya nie o dobroć roboty, lecz o taniość. W tem też leży przyczyna, dla której ustalił się zwyczaj, że pracę kobiecą wynagradzają gorzej z zasady.

Dzisiejsza jednak pracownica biurowa, na równi z mężczyzną, wnosi elementy dodatnie, jak ład, systematyczność, porządek, obowiązkowość i co najważniejsza w wielu wypadkach wiedzę i wydoskonalenie się fachowe.

Dzięki coraz liczniejszym zakładom naukowym żeńskim, o charakterze zawodowym, praca kobiet stała się na równi wydajną z pracą fachowców mężczyzn. Powoli też widoczną jest zmiana w stosunkach kobiet i pracowników mężczyzn. Miejsce dawnej arogancyi i ironii zajmuje coraz częściej uznanie i szacunek kolegów. Wartość kobiety, jako pracownika biurowego, nie jest już dziś lekceważoną, tylko w dalszym ciągu finansowo niedocenianą. Zwyczaj płacenia kobiecie mniejszej pensyi utrzymuje się prawie niezmien-

nie, ale tylko już dlatego, że jest bardzo wygodny dla kieszeni pracodawców. Zmienić się to jednak musi, jak się już zmienił pogląd na produkcyjność pracy niewieściej.

* * *

Koniec kołnierzyka.

Rozsądne kobiety, poddając się niechętnie przymusowi mody, oddychają swobodniej. Wysokie kołnierzyki, obejmujące szyję aż pod uszy ciasnym pancerzem, zniknęły z początkiem ciepłych dni wiosennych. Ile kobiety wycierpiały pod tym mundurowym kołnierzem! Bo nietylko, że zasłaniał piękne linie szyi, nietylko, że krępował wolność ruchów, ale nadto sprawiał ciągłą robotę i pozbawił niejedną z pań dobrego humoru. To brudziły go nizko zaczesane włosy, to przebijały materyę sztabki, nadające mu kształt prosty, lub co gorsza łamały się i raniły szyję. Kołnierzyk nie leżał nigdy prawidłowo — gdy górny haczyk był zapięty, odpinał się dolny, a gdy dolny był szczęśliwie zapięty, otwierał się górny. I z tym wysokim kołnierzem łączyła się cała bieda zapinanych w tyle bluzek i staników — pomimo najdziwaczniejszych kaprysów i wybryków nie byłaby moda nigdy wpadła na myśl umieszczania haftek i haczyków na miejscach, na których nawet człowiekwąż z trudnością je zapiąć może, gdyby wysoki kołnierz nie wymagał zapinania w tyle.

Pod brodą powinien leżeć gładko i bez fałdy, a zatem trzeba go było zapinać w tyle, i stanik musiał się do tego zastosować. Bez pomocy panny służącej było wprost niemożliwem ubrać lub rozebrać się, a gdzie nie było garderobianej, tam musiał małżonek pomódz, otrzymujący (jeżeli był niezręcznym) zamiast słów podziękowania — ostrą naganę i wymówki. — Kobietom zaś, nie rozporządzającym ani garderobianą ani małżonkiem, nie pozostawało nic innego, jak okryć się płaszczem i prosić po drodze jaką znajomą o zapięcie bluzki. Podobno i odźwierni w wielu kamienicach musieli tę przysługę oddawać — oni może są też jedyni, którzy wysokiego kołnierza żałować będą.

Drobne kędziorki i palone loczki spadać znów będą na odsłoniętą szyję, głowa swobodnie będzie się mogła poruszać, i gdyby piękna Agnieszka Bernauer o przezroczystej płci i cieniutkiej, delikatnej skórze odżyła, możnaby znów widzieć czerwone wino, płynące przez jej kształtne gardło... to jest — jeżeli jej współcześni nie przesadzili trochę...



Zofia Sokołowska.

Kobieta w masce.

(Z dawnych kronik florenckich.)

W powabnej dolinie, zwanej ogrodem Toskanii, wznosi się miasto, które otrzymało nazwę „kwiatu“ i samo jest pysznym kwiatem, rozkwitłym w złotych promieniach słońca włoskiego. Tem miastem jest Florencya, zwana w Italii „la bella.“

Tam, w epoce Medyceuszów, żyła Rosaura Montalboni, kobieta tak wielkiej urody, że od czasów sławnej Heleny greckiej, świat piękniejszej nie widział niewiasty. Był to cud natury tak doskonały, że najsurowszy krytyk nic nie mógłby jej zarzucić. Fidyasz i Praksytyles na jej widok byliby padli przed nią na kolana.

W epoce Odrodzenia, kiedy Florencya posiadała moc znakomitych artystów, żaden malarz nie odważył się przenieść jej rysów na płótno, żaden rzeźbiarz nie śmiał zakląć w bronz lub marmur przedziwnych jej kształtów, wszyscy przyznawali, że to było zadanie nad siły. Najurodziwsze kobiety florenckie wyglądały przy niej, jak służebnice przy królowej, gasły jak świeczki przy słońcu. O współzawodnictwie nie mogło nawet być mowy,

Jeżeli zjawiła się w kościele, ludzie przestawali się modlić i zamiast na ołtarz, patrzeli w nią, jak w tęczę. Ile razy wychodziła na ulicę, otaczał ją tłum mężczyzn, którzy z uwielbieniem śledzili każdy jej ruch, każdą linię jej ciała. Jeżeli weszła do sklepu bławatnego, kupiec rozkładał przed nią najpiękniejsze atłasy i aksamity, najdroższe brokatele i złotogłowia, nigdy nie chcąc przyjąć od niej pieniędzy. Było to dość szczęścia i zaszczytu, że raczyła wybrać coś w jego sklepie.

Uśmiech jej i spojrzenie ceniono wyżej, niż złoto. Cała młodzież florencka przykuta była do zwycięskiego jej rydwanu. Co dzień znoszono do jej pałacu najkosztowniejsze podarunki, co noc pod jej oknami śpiewały wiole, brząkały mandoliny i dźwięczne głosy męskie nuciły miłosne pieśni. Rosaura przyjmowała wszystko, nic w zamian nie dając, miała w piersi kamień zamiast serca i z szyderczym uśmiechem patrzała na katusze swoich niezliczonych kochanków — żaden mógł wyżebrać u niej miłości. Lubiła rozbudzać w nich zazdrość, a okrucieństwo jej nie miało granic. Nikt nie widział łzy w jej oczach, nikt z jej ust nie usłyszał dobrego słowa. Była to tygrysica z obliczem archanioła, gorsza od pogańskiej Circe, od Armidy niebezpieczniejsza.

Kiedy głód nawiedził Toskanię i ludzie błąkali się po ulicach jak cienie, słaniając się z osłabienia, Rosaurze nie przyszło nawet na myśl posłać im kęsa chleba. Nie zmieniając sposobu życia, po dawnemu kąpała się w mleku, jadała najwymyślniejsze przysmaki, spijała najkosztowniejsze wina. Podczas rozruchów w mieście, lud rozjątrzony jej zbytkami i samolubstwem, wpadł do pałacu, żeby ją zabić. Wyszła dumna, spokojna, uśmiechnięta i znowu nieporównana jej piękność odniosła zwycięstwo: napastnicy na jej widok stanęli jak wryci, noże wypadły im z ręki, serca dyszące przedtem zemstą i nienawiścią, zadrgały uwielbieniem, o mało nie padli przed nią na kolana, jak przed Madonną.

Wśród niezliczonych wil, rozrzuconych na stokach górskich, albo w uroczych dolinach apenińskich, kędy z nastaniem upałów letnich chronili się patrycyusze florenccy, wila Rosaury była najpiękniejsza, miała najkosztowniejsze sprzęty, wykładane różnobarwnem drzewem zamorskiem, stoły mozaikowe godne zamków królewskich, na ścianach szpalery flandryjskie, tkane z najprzedniejszej wełny, jedwabiu, złotych i srebrnych nici, obrazy i posągi najpierwszych mistrzów, a wszędzie w majolikowych czarach, w tęczowych kielichach z weneckiego szkła, w kosztownych wazonach z bronzu i marmuru najrzadsze kwiaty. Nic nie było dla niej zbyt drogie, ani zbyt piękne. W pół roku potrafiła zrujnować najbogatszego człowieka.

Trudno zliczyć, ilu samobójstw, pojedynków i krwawych bójek stała się przyczyną; matki dorosłych synów bladły, słysząc o niej, żony truchlały o mężów. Tysiące ludzi przeklinało ją. — Stawiono ją nawet przed sądem, ale została uniewinniona: piękność jej byłaby najsurowszych rozbroiła Katonów. Rozzuchwalona, nie znała już potem miary w zbytkach i okrucieństwie; deptać po sercach ludzkich to była dla niej największa rozkosz.

Coraz liczniejsze skargi zrozpaczonych żon i matek zaczęły napływać do księcia, aż wreszcie zaniepokojony książę kazał przedstawić sobie wszystkie dowody winy Rosaury i przeraził się, kiedy mu pokazano długi szereg nazwisk jej ofiar: były między



Ciekawski.

niemi imiona z najpierwszych rodzin florenckich, młodzieniaszki, starcy i mężowie dojrzali. Postanowił osądzić ją sam, lękał się bowiem, żeby nieprzeparty urok tej syreny nie zmiękczył znowu sędziów i nie przeszkodził wymiarowi sprawiedliwości.

Rosaura weszła z rozjaśnioną twarzą, strojna, utrefiona, ufna w niezawodną siłę swoich wdzięków, ale zawiodła się tym razem: książę nie podniósł oczu na nią. Rozumiał, że obowiązkiem jego, jako ojca narodu, jest uwolnić go od tej złowrogiej kobiety i oparł się pokusie spojrzenia na czarodziejkę. Wyrok wypadł surowy: 20 lat więzienia z obostrzeniem, że przez ten czas ne wolno jej będzie zdjąć maski. Książe obawiał się, żeby dozórcy, rozbrojeni jej pięknością, nie otworzyli przed nią wrót więziennych. Kat miał ją napiętnować, a potem włożyć jej maskę, żeby nikogo nie mogła już oczarować, ale kiedy przystąpił do niej z rozpalonem żelazem i obnażywszy jej ramię, ujrzał cudne, jakby z alabastru wykute kształty, zabrakło mu odwagi: cisnął daleko od siebie rozżarzone żelazo i złożył ręce z zachwytu. — Książę wtedy zszedł z tronu i sam włożył maskę Rosaurze, zakrywając oblicze, które stało się przyczyną tylu nieszczęść i cierpień. Jeszcze chwila, a wszyscy obecni byliby go na kolanach błagali o przebaczenie dla pięknej grzesznicy.

Odtąd słuch zaginął o Rosaurze. Florencya odetchnęła.

Kiedy upłynął termin jej kary, przypomniano sobie o niej i wyprowadziwszy z więzienia, zdjęto jej maskę. Można było uczynić to bezkarnie: twarz najpiękniejszej niegdyś kobiety w świecie była tak zmieniona, że mogła tylko straszyć ludzi. Rosaura domyśliła się tego i pochwyciwszy maskę, włożyła ją napowrót — odtąd już nigdy jej nie zdjęła. Usunąwszy się w zacisze klasztorne, wiodła tam żywot pokutniczy i przed śmiercią prosiła, jak o najwyższą łaskę, żeby pochowano ją w masce.



HESTIA.

(Z mytologii greckiej.)

Stary Kronos siedział na zrębie skały i odpędzał myśli, które prześladowały go jak natrętne muchy. Właśnie co opuścił go był ponury i skryty Pozajdon, który w krótkich, lecz bardzo stanowczych słowach zażądał ręki jego ukochanej, najstarszej córki Hestii.

Oto mieszka w podziemiach morza w ogromnym pustym zamku. Cała jego służba to stary, głuchy delfin i babka najstarszej z Nereid, której wieczne gderanie i jednostajna kuchnia do szczętu mu obrzydły. Więc umyślił sobie pojąć za żonę Hestię, której cichą i słodką postać podziwiał za ostatniej bytności i uczty na dworze ojca świata i bogów.

A gdyby miał dostać ją ten pyszałek Apollon, który podobno stale się koło niej kręci i błazeństwami ją bałamuci, to wstrząśnie posadami morza i takiej nagotuje nawałnicy, że przez pięć dni żaden z bogów i żadna z bogin oka nie zmrużą. Za inne szkody także nie ręczy.

Stał jeszcze chwilę przed milczącym Kronosem, wreszcie podjął go za nogi i poszedł.

Gbur — mruknął ojciec bogów i nie ruszył się z miejsca, bo chciał właśnie otulić się w mgłę nadchodzącą i obmyślić, jakby pozbyć się w dobry sposób z daleka rybą woniejącego natręta.

Aliści nie wiedzieć skąd zjawił się przed nim smukły Apollon. Elegancki, wypomadowany oparł się na złotostrunej lirze i uśmiechał się trochę bezczelnie, trochę zalotnie w stronę potężnego władcy niebios.

Westchnął Kronos i w tej chwili rozpoczął najpiękniejszy z bogów swą przemowę. Była kwiecistą, owianą urokiem poezyi, dźwięczną i rozumną. Już Helios swą czwórką na zachód skręcał, a on wciąż jeszcze miał myśli i słowa jak perły i przeplatał je brylantami uczuć i wdzięku.

Bóg bogów słuchał piąte przez dziesiąte, chociaż nie mógł się oprzeć urokowi tej wymowy. Zrozumiał to jedno, że znów chodzi o Hestię.

Zalotnik zaręczał, że czuje wstręt do dotychczasowego życia. Przyznaje, że zawinił dużo, ale wszystkie kobiety lgną do niego jak pszczoły do kwiatów, a on nie umie być srogim. Ma teraz kłopotów, no i dzieci rozmaitych dużo. Białogłowy to najgorsze istoty w świecie; jedyny wyjątek stanowi Hestia, o której rękę prosi i wzajemności prawie że jest pewien. Chce życie rozpocząć cnotliwe, a to jest tylko możliwem, jeżeli córa Kronosowa u jego ogniska zasiędzie.

Już mroki kryły stoki gór, gdy ukłonił się swobodnie i do świętego gaju, gdzie miał letnie mieszkanie, odleciał. Niebawem rozległ się z dołu głos dźwięczny, miłosny i tęskny, aż z lubości zamigotały pierwsze gwiazdy na niebie i zadrżały w posadach góry niebotyczne.

Kronosowi chłód począł dokuczać, a i tak przy tym cudownym śpiewie myśli zebrać nie mógł. Zewlókł się zatem z swego siedzenia i podążał powoli z zwieszoną od trosk głową ku siedzibie bogów, która niby kopuła złota wznosiła się na szczycie Helikonu.

Zbliżając się do bramy, której strzegły dwa olbrzymie centaury, spostrzegł przechadzającą się parę, pogrążoną jakoby w poufnej bardzo rozmowie. A że wzrok już miał słaby, więc skinął na bawiącego się w piasku młodziuchnego, lecz bardzo już przebiegłego Hermesa i zapytał, coby to były za osoby w wnęku bramy?

To Zews i córka twa Hestia, o Najpotężniejszy: — brzmiała odpowiedź. Zmarszczył brwi Kronos i wraz zatrzęsła się ziemia, zagasły gwiazdy i grzmot przeciągły, ogłuszający pobudził wszystko żywe i napełnił je strachem mrożącym. Tego było mu już za dużo. Jakto — pomyślał w boskiej swej głowie, czyżby i ten trzeci jeszcze, gagatek mojej żony, mój wróg skryty i następca?

Trzeba wiedzieć, że matka bogów Rea dziwną jakąś dla mało sympatycznego zresztą Zewsa żywiła miłość. Kronos wiedział, co go z ręki władcy Olimpu czeka, ale trudno było oprzeć się Przeznaczeniu. Ponad bogami przecież niezgłębiona, straszna i wszechwładna stoi Moira.

Lecz już był dostrzegł ojca bogów Zews chytro baczny i podbiegł ku niemu z wrodzoną, wytworną uprzejmością.

Przystanął Kronos i zmierzył go wzrokiem. Lecz oblicze następcy tronu nie zdradzało złych zamiarów. Przeciwnie, promieniał radością i takim się wydał potężnym i szczęśliwym, że zaniepokojona przyroda swobodniej odetchnęła, a wystraszony naród ludzki zagasłe w chatach ogniska na nowo rozpalać począł.

Oto przynosi dobrą nowinę. Zaręczył się z bogiń najcudniejszą, gromowładną Herą, wspaniałą przyszłą panią Olimpu. Z jedną jedyną miał tylko troskę, ale tę rozproszyła właśnie dobra i słodka Hestia. Bo przyszła małżonka jego nie chce zajmować się gospodarstwem domowem. Pragnie od rana do nocy siedzieć na tronie, rządzić światem, wypowiadać wojny i dyktować pokój, wreszcie, jak trzeba, rodzić dzieci, ale kuchnią zajmować się nie myśli. Mówił już o tem z Hestią. Oświadczyła mu dobrowolnie, że za mąż wychodzić nie myśli, bo odrazę czuje do mężczyzn. Nie wie, skąd to idzie, ale tak jest i woli swej nie zmieni. Radaby zostać przy ojcu, ale znajdzie się sposób i na to. Przeprowadzi się do młodego małżeństwa i staruszka zabierze z sobą. Będzie im dobrze w czworo i weselej. Nieraz musi zastępować władcę bogów, a tych urzędowych przyjęć nie znosi. Będzie mogła teraz całkiem poświęcić się pielęgnowaniu ogniska domowego i przyrządzaniem potraw. Zabierze nawet z sobą cały zapas ambrozyi. Ma już w pomyśle mnóstwo sposobów warzenia boskich smaczności, których dotąd nie mogła urzeczywistnić. Teraz spełnią się jej marzenia. A on, Zews, pokornie do nóg chyli się panu wszechświata i pyta, czy na taką ugodę przystaje. Z swej strony zapewnia, że żyć będą w najzupełniejszej harmonii, a przyszła żona jego jest wcieleniem anielstwa. Wszyscy razem Hestię uwielbiać będą — jako panią i opiekunkę ogniska domowego.

Kronos pokiwał głową filozoficznie i zapytał po chwili: A co będzie z Pozaidonem i Apollinem, którzy co dopiero o Hestię się oświadczyli?

W odpowiedzi uderzył Zews nogą swą spiżową pobliską skałę. I wraz urwała się u samego podnóża i z przeraźliwym łoskotem potoczyła się do ciemnego oceanu. Zadrzały ściany podmorskiego pałacu, rozpierzchły się senne delfiny i przeląkł się groźny Pozaidon, poznawszy boską moc brata.

A odłamek skały zboczył do gaju świetego i rozczepił na pół pięćsetletnią lipę, pod którą śpiewał pieśń miłości poeta bogów Apollon. I przeraził się nieustraszony w boju, zawiesił lirę na poblizkim krzaku i podążył w ramiona czekającej nań dryady.

Wraz zaś wystąpiła z zamku Hestia, podała ramię ojcu i w troje wyruszyli w drogę do Olimpu, a za nimi nieśli z powagą tłomoki i sprzęty dwaj centaury, stróże pałacu Kronosa. Od tej pory czy słota czy pogoda, czy Kronos, Zews, Ideał lub Moloch panuje, Hestia jest i pozostanie strażniczką ogniska domowego.

A—r.



Leonid Andrejew.

Milczenie.

(Nowela.)

Tłom. Oka.

(Dokończenie).

Poza domem był pop Ignacy rozmowny: mówił z dozorem, z członkami gminy, w szpitalu, w końcu u znajomych grając w karty. Po takiej rozmowie miał jednak wrażenie, jakby cały dzień milczał; może dla tego, że nie poruszał głównego tematu, który go dzień i noc pochłaniał:

— Czemu Wera umarła?.... Nie mógł pojąć, że tajemnicę zabrała do grobu, myślał — może się jeszcze dowie. W bezsenne noce rozbierał każde słówko ostatniej rozmowy z Werą, gdy stali z żoną przy łóżku, a on prosił: — wyjaw nam tajemnicę. — Widzi ją nie milczącą, lecz uśmiechniętą i wesoło szczebiocącą.... O — czem mówiła?... już — już... zdawało mu się... wstrzymuje oddech... zdaje mu się, że zdoła uchwycić.... — Pop Ignacy wyskoczył z łóżka, wyciągnął konwulsyjnie ręce i krzyknął — Wero!....

Złowroga cisza.

Jednego wieczoru wszedł do pokoju żony, u której już przeszło tydzień nie był, usiadł na krawędzi łóżka i rzekł, odwracając głowę, ażeby jej jednostajnego, upartego wzroku nie spotkać: — matko! — mam zamiar z tobą o Werze pomówić. Słyszysz mnie?

Oczy pani Olgi milczały. Pop podniósł głos i przemówił rozkazująco — tak jak z ludźmi przy spowiedzi mówił:

— Ja wiem, ty mnie posądzasz o Wery śmierć. Pomyśl: czy ja ją mniej kochałem niż ty?

Sąd twój dziwny!.... Prawda — byłem surowy, ale przecież czyniła, co chciała. Nie naraziłem mojej ojcowskiej godności, gdy jej zagroziłem klątwą, a ona nie lękając się, dom nas opuściła.

Czy mówiłem jej o Bogu, o miłości, pokorze?....

Spojrzał ukradkiem w oczy żony — i odwrócił się.

— Cóż miałem zrobić, kiedy nie chciała mi wyjawić powodu? Czy myślisz, że byłbym ją rozkazem zmusił do wyjawienia? Przecież jej rozkazywałem, błagałem, prosiłem. — Czy miałem przed nią paść na kolana i płakać jak dziecko? Skąd mogłem wiedzieć co z nią się stało? Niewdzięczne i bez serca dziecko!

Uderzył dłonią po kolanie.

— Nie kochała nas — ot wszystko! o sobie nie mówię: — powiadacie, że jestem tyranem....ale ty... ty... czy ciebie kochała? — A tyś ją uwielbiała. Byłaś wobec niej pokorną, uległą.

Rośmiał się głucho.

— Czy kochała!... dla tego swoją okrutną śmiercią sprawiła nam taką pociechę! Umarła jak zwierzę!... Zniżył głos i ciągnął dalej gorzko:

— Wstydzę się na ulicy pokazać! Wstydzę się przed ołtarzem — wstydzę się przed Bogiem!....

Okrutna, niewdzięczna córka!

W grobie zasłużyła na przekleństwo!...

Podniósł oczy na żonę.

Pani Olga straciła świadomość, i po kilku godzinach odzyskała dopiero przytomność. Oczy jej jak poprzednio były bez wyrazu; pop nie wiedział, czy słowa jego słyszała...

Tej samej nocy, ostrożnie, starając się nie zbudzić żony i dozorczyni, które spały w przyległym pokoju za zamkniętemi drzwiami, wrzucił tylko najpotrzebniejsze odzienie na bieliznę, boso wysunął się cichutko po schodach do pokoju Wery. Owionęło go powietrze gorące, przepełnione stęchlizną. Pokój sprawiał wrażenie grobu; od śmierci Wery nikt nie przestąpił progu jego!....

Zbliżył się ociężale do okna, odsunął firankę i otworzył obie połowy na oścież.

Chłodny, wilgotny, przepełniony zapachem kwiecia lipowego, wiew wionął mu w twarz, aż go zakłuło pod powiekami, i przyniósł z sobą daleki śpiew; zapewne wesołe jakie towarzystwo błądzi przy świetle księżyca, w łodzi po jeziorze... Cicho, ostrożnie zbliżył się do łóżka, upadł na kolana, ukrył twarz w poduszkach — i przetrwał w tej pozycyi długą chwilę.

Śpiew zbliżał się wyraźniej, wreszcie zamilkł zupełnie — jeszcze leżał skamieniały... piękne jego czarne kędziory spadały mu w nieładzie na twarz i poduszkę.

Księżyc schował się za chmury, w pokoju zapanowała ciemność. Wreszcie pop Ignacy podniósł się, przycisnął do czoła rozpalone dłonie, z ust wybiegł mu głuchy szept tajonej długo namiętnej miłości.

— Wero moja córko jedyna! Wiesz ty, co to jest córka? Gołąbku mój, moje serce, moje życie!

— Patrz, ja twój stary, słaby... ojciec....

Drgnął gwałtownie, głos mu zadrżał — pokonując siłą woli wzruszenie szeptał pieszczotliwie jak do dziecka:

— Weroniu, twój stary ojciec płacze nad twojemi cierpieniami. Cierpi... boleśniej...

Wzdrygnął się kurczowo.

— Tak, tak boleśniej, Weronciu! Mnie starego śmierć nie zatrwoży? Ale ty... ty... czyś ty wiedziała, jak byłaś kochaną!...

Przypominasz sobie, jak się raz do krwi zadrasnęłaś w paluszek, jak przytem z strachu płakałaś? Moja najdroższa gołąbeczko! Ja wiem, żeś ty mnie kochała!

Każdego poranku całowałeś mi serdecznie ręce... powiedz... wyjaw mi co ci serduszko przygniata?... Przysięgam! patrz temi pięściami uduszę twój ból! Moje ręce jeszcze są silne, Weroniu!...

Gwałtownem poruszeniem głowy, odgarnął sobie włosy z czoła.

— Wyjaw dziecino!

Wzrok wlepiał w ścianę.

— Wyjaw!

Zdala zabrzmiał przeraźliwie przeciągły głos świstawki.

Rozszerzonemi źrenicami obejrzał się po pokoju; podniósł zwolna dłoń, przycisnął do rozpalonego czoła i szepnął głucho:

—Wyjaw!

Złowroga cisza.

* * *

Na drugi dzień po obiedzie poszedł pop Ignacy pierwszy raz, po pogrzebie córki, na cmentarz.

Dzień był spokojny, upalny, tak iż wydawał się, jakby tylko był jasną nocą.

Z przyzwyczajenia szedł prosto, wzrok miał surowy; miał wrażenie, że pomimo cierpień nie pochylił się, że jak dawniej lękali się wszyscy jego imponującej postawy i dumy; — niestety — nie wiedział, że broda jego wczoraj jeszcze czarna jak heban, przeciągana tylko tu i ówdzie białemi niteczkami, dzisiaj — jest śnieżno — biała.... nie czuł głuchego bólu w kolanach!?...

Droga na cmentarz wiodła prosto; na końcu w blasku słońca świeciła z daleka jaskrawo oświecona promieniami brama, jak otwarta pasieka, wiodąc do wnętrza cmentarza.

Wery grób znajdował się na końcu cmentarza, w opuszczonym, zarośniętym chwastem, zakątku... kilka grobów na pół rozwalonych, kilka z zniszczonymi od starości pomnikami świadczyły, że tu rzadko, albo raczej nigdy stopa ludzka nie stanie. Do jednego takiego grobu tuliła się świeża mogiła Wery.

Pop usiadł na sąsiednim grobie, odetchnął głęboko, rozejrzał się spokojnie po niebie i teraz dopiero uderzyła go ta dziwna, tajemnicza cmentarna cisza....

Przeżywał wiek — nagle zadrżał gwałtownie i spojrzał na Wery grób. Patrzał długo — długo!... Nie mógł uwierzyć, że tam, zaledwo dwa metry pod ziemią leży jego Wera!... Nie pojmował, że ta, którą uważał za wiecznie straconą, — znajduje się tu — tak bliziutko niego... Nie umiał pojąć, że jest tak blisko, a niema jej i nie będzie nigdy!

Zdawało mu się, iż gdy wymówi słowo, Wera wstanie uśmiechnięta z grobu, stanie przed nim — piękna, wysoka, szczupła, taka, jaką za życia była....

Zdjął z głowy czarny z szerokiemi skrzydłami kapelusz, odsunął ręką z czoła swoje długie kędziory i przemówił: — Wero!

I zadziwił się, że grób milczał.

— Wero! — powtórzył głośniej i zamilkł... zdawało mu się bowiem, że go dochodzi z dołu głos cichy, przytłumiony... Rozejrzał się, przykląkł, odgarnął włosy, przyłożył ucho do mogiły: — Wyjaw!

Z przerażeniem, blady jak trup usłyszał, że Wera przemówiła — ale przemówiła — złowrogiem, długiem milczeniem...

Wstał szalony, w koło rzucał błędne spojrzenia, — drżał jak listek osiny....

Po pewnym czasie otrząsł się przemocą z wrażenia, przybrał dumną postawę, przeżegnał mogiłę córki i pewnym, miarowym krokiem, wyszedł z cmentarza.

I zabłądził — na cmentarzu, na który tyle już pogrzebów zaprowadził....

— Zbłądziłem, — uśmiechnął się lekko i stanął. Zawachał się na chwilę i poszedł dalej.

Skręcił bez namysłu na lewo, jemu stać nie wolno... cisza goni go ze wszystkich stron... świszczy w powietrzu, oddycha z mogił, szyczy z szarych pomników...

Przyspieszył kroku i błądzi w jednem i tem samem kółku bezmyślnie,

przeskakuje przez groby, uderza o ogrodzenia, drze odzienie na sobie... kurczowo chwyta się krzyży i pędzi ile sił przed siebie...

W rozdartej sutannie z rozpuszczonym w nieładzie włosem, błędnym wzrokiem pomiędzy mogiłami biegnący co sił z wyciągniętemi przed siebie rękami byłby każdego strachu nabawił, jak umarły powstały z grobu. Wyskoczył nareszcie na plac przed kościołek na środek cmentarza. Na progu drzemał jakiś starzec, widocznie zmęczony daleką pielgrzymką, obok niego, kłóciły się i krzyczały w niebogłosy, doskakując do siebie jak dwa walczące koguty, dwie stare żebraczki...

Szarzało, gdy pop Ignacy się do domu zbliżał. W pokoju żony paliło się światło. W kapeluszu na głowie, zakurzony, obdarty — wszedł gwałtownie do pokoju żony, przypadł do łóżka i upadł ciężko na kolana.

— Matko... Olgo! — zlituj się nademną!... zaszlochał zdławionym głosem, — ja oszaleję!

Uderzył głową gwałtownie o brzeg stołu i zapłakał boleśnie, jak człowiek, który jeszcze nigdy nie płakał. Nagle podniósł głowę, zdawało mu się, że w tej chwili musi się cud stać, że żona przemówi, będzie go żałowała, pocieszała — przyprowadzi go znów do równowagi...

— Matko... żono moja!

Całem ciałem przechylił się ku żonie, źrenice ich spotkały się, lecz szare oczy pani Olgi nie wyrażały ani współczucia, ani pociechy...

Może mu przebaczyła, może go też żałowała... lecz szare jej oczy milczały.

. . . .

Milczał cały, ciemny, opustoszały dom.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 24-go kwietnia 1221 ustanowienie biskupstwa w Rydze. — 1428 śmierć Jana Pełki, biskupa kujawskiego. — 1440 Władysław III. wchodzi do Węgier. — 1528 pożar w Krakowie. —1578 Stefan Batory urządza mennicę. — 1831 bitwa w Wilejce. — 1831 okólnik wzywający Podole do powstania.

Dnia 25-go kwietnia 1333 koronacya Kazimierza W. — 1425 sejm w Brześciu zapewnia tron Władysławowi III. — 1438 konfederacya w Korczynie przeciw kacerzom. — 1794 wywieszenie zdrajców w Wilnie. — 1831 bitwa pod Kuflewem. — 1848 zawiązek legionu polskiego wchodzi do Medyolanu.

Dnia 26-go kwietnia 1606 wjazd Maryny Mniszchówny do Moskwy. — 1771 bitwa pod Szreńskiem. Śmierć Sawy. — 1794 Moskwa zajmuje Kurlandyą. — 1795 trzeci rozbiór Polski. — 1848 zbombardowanie spokojnego Krakowa przez Austryaków.

Dnia 27-go kwietnia 1468 urodzenie królewicza Fryderyka Jagiellończyka. — 1577 sejm konwokacyjny w Warszawie. — 1831 Dwernicki wchodzi do Galicyi.

Dnia 28-go kwietnia 1511 pobicie Tatarów pod Wiśniowcem. — 1512 pobicie Tatarów pod Łopuszną. — 1677 hołd Jakóba Keslera księcia kurlandzkiego. — 1848 spalenie Książa. Śmierć Floryana Dąbrowkiego.

Dnia 29-go kwietnia 1606 ślub Maryny Mniszchówny z Dymitrem. — 1831 powstanie w powiecie kowelskim. — 1831 bitwa pod Kiejdanami. — 1832 założenie towarzystwa literackiego w Paryżu. — 1849 protestacya poznańska przeciw wcieleniu do Niemiec.

Dnia 30-go kwietnia 1310 urodzenie Kazimierza W. — 1632 śmierć Zygmunta III. — 1697 koniec konfederacyi wojskowej. — 1794 bitwa z Moskalami pod Niemenczynem. — 1831 poruszenie cząstkowe na Podolu. — 1848 bitwa pod Miłosławiem.

Humor i satyra.

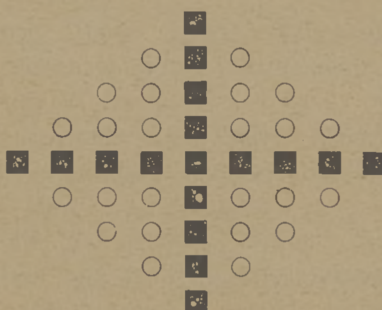
Na podwórzu koszarowem.

— Rekrut Meyerstein, jak niedbale wam znów mundur siedzi, jeszcze mi kiedy się zjawicie w pieluchach?

Łamigłówka do nagrody.

Ułożył czytelnik naszego pisma p. Edm. Gawęda (pseudonim).

Miejsca oznaczone kwadratami zapełnić tak, ażeby środkowe utworzyły nazwę herbu polskiego.



ZNACZENIE WYRAZÓW.

Liczba rzymska.
Przeznaczenie.
Wyspa na morzu Śródziemnem.
Poeta serbski.
. . . .
Malarz Polski
Wódz ateński.
Rzeka w Syberyi
Samogłoska.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 28-go kwietnia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie tak zagadki jak też znaczenia wyrazów.

Rozwiązanie zagadki zamieszczonej w numerze 15-ym:

k a l a
k a r a
k a m a
k a n a
k a t a
k a w a
k a s a
k a p a

Dobre rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 14-go b. m. włącznie następujące osoby:

Z Poznańskiego: pp. Jaroch Czabański z Zaniemyśla, Łucya Zelma z Wiesentalu pod Piłą, A. Nawrocka z Rakoniewic, Jadwiga Hoffmanówna z Kwilcza, Józefa Spychalska z Roska.

Z Prus Zachodnich: pp. Pelagia Nowak z Grndziądza, Stanisława i Kazimierz Balcersey z Grudziądza, Marya Jankowska z Torunia.

Z Prus Wschodnich: p. M. Benz z Ostródy.

Ze Śląska: pp. Wiktor Polak z Bobrku, Walenty Szkoda z Zabrza, Stanisław Łukawski z Radzionkowa, Klara Musialik z Rozbarku, Albina Badura z Rożdzienia.

Nagrodę otrzymali: pp. Jadwiga Hoffmanówna z Kwilcza, M. Benz z Ostródy i Stanisława Łukawska z Radzionkowa

DLA PRZYKŁADU.

2) OBRAZEK Z OSTATNIEGO POWSTANIA NARODOWEGO.

(Ciąg dalszy).

Wyglądał jeszcze jakiś czas przez okno, pożegnał się, odmówił pacierz, zdał się na wolę bożą, spojrzał raz jeszcze na uroczy księżyc milczący, wszystkich tych zbrodni świadka, i udał się na spoczynek.

II.

W więzieniu nietylko łóżka, ale nawet gołej ławki nie było; tylko w kącie jakby psu do budy położono wiązkę słomy.

Więzień, nie rozbierając się, położył się na słomie i już chciał spoczywać, gdy niespodzianie posłyszał lekkie trzykrotne puknięcie w ścianę. Natychmiast w podobny sposób odpowiedział. Pukanie powtórzyło się, daleko niżej, jak wprzódy — znowu więc w to miejsce, zkąd zapytywano, odpowiedział.

Potem już pukanie zamilkło, ale więzień uczuł w słomie jakiś szelest, omacał ręką i natrafił na blaszaną trąbeczkę. Nie było wątpliwości, że w murze jest otwór, i że kolega z sąsiedniej kaźni pragnie zawiązać komunikacyę.

Otwór był bardzo nisko, przy samej podłodze, trzeba było schylić głowę jak najniżej, chcąc z tej trąbeczki zrobić właściwy użytek; nie wiele to kosztowało naszego młodzieńca, bo jak wiemy, leżał na podłodze, potrzebował tylko odgarnąć słomę, a uczyniwszy to, przyłożył ucho do trąbki, której druga połowa była w sąsiedniem więzieniu. Słucha więc... coś dmuchnęło mu tak, że odjął prędko głowę i poskrobał się w ucho, ale później znowu przytknął i usłyszał co następuje:

— Jak się masz, kolego?

— Jak się masz?

— Nazwisko twoje?

— Maliński.

— A dawno tu siedzisz?

— Przed kilku dniami mnie aresztowano...

— Tylko... a nie wiesz za co?

— Nie wiem, prawdziwie, i nie mogę pojąć, coby to znaczyło, tem więcej, że nie było żadnego powodu, ponieważ nic przy mnie nie znaleziono. W całej tej sprawie, jestem jak w lesie... zostaję w zupełnej nieświadomości o moją przyszłość, co mnie więcej dręczy, niż kara, surowsza od tej, jaką znoszę... A kolega dawno?

— Ho, ho, ja siedzę w więzieniu już od kilku miesięcy, od czasu rozbicia Dołęgi.

— Sierakowskiego?

— Tak jest, chciałem mówić Sierakowskiego... przywykło się w obozie tak go nazywać tym pseudonimem. Otóż po rozprószeniu oddziału byłem prowadzony w jednej z gromad, wziętych do niewoli, pod silną strażą eskortowano nas aż tu do Wilna, w drodze znosiliśmy wielki niedostatek... nie dawali nam jeść te łotry. Posadzono mnie najprzód na Wileńskiej ulicy, gdzie to jest policya poprawcza, byłem tam zapewne dla braku miejsca gdzieindziej. Dopiero później, po kilku tygodniach, przenieśli mnie do Dominikańskiego klasztoru, a teraz tu.

— Ach, mój Boże — rzekł Maliński — to to pan pod Sierakowskim służył; o jakże miłe mam spotkanie! jesteśmy sobie podwójnie kolegami, a chociaż nie widzę pana w tej chwili i nie mogę poznać z twarzy, lecz ręczę, że musieliśmy się spotykać, bo w naszym obozie, jak wiadomo, koleżeństwo było bardzo ścisłe. W naszej naprzykład dziesiątce, a nawet i w setce żyliśmy jak rodzeni bracia, taka to między nami panowała serdeczność i przyjacielskość. Krótko wprawdzie służyłem, bo tylko parę tygodni, ale te chwile na zawsze pozostaną w sercu mojem pamiętne. Oj szkoda Sierakowskiego, wielka szkoda... byłem obecny jego śmierci. Boże kochany, co to tam tego płaczu było po nim, i słusznie i jest kogo żałować, bo też to był wódz znakomity, jakich nie wielu. Niektórzy mu zarzucali, że to teoretyk tylko, że na polu bitwy nie tyle zdolnym się okazał, ile w swych pismach i rozmowie, ale to fałsz; ja ręczę, że to fałsz tylko, zazdrością wywołany; sam byłem świadkiem jego męstwa i przezorności na polu bitwy. W obozie, jak koledze może wiadomo, było kilku osobistych jego nieprzyjaciół...

— Wszystko to prawda, jednakże ja chcąc być bezstronnym, muszę wyznać, że w części podzielam zdanie tych, którzy nie upatrywali w Sierakowskim nazbyt wielkich zdolności.

— Czy tak? a w jakiej setce był kolega, pod czyjem bezpośredniem dowództwem?

— Ja byłem pod... jakże się ten nazywa... to jest ja właściwie zostawałem pod osobistem dowództwem naszego wodza.

— Jakto, w sztabie?

— Nie byłem wprawdzie w samem centrum sztabu, lecz zostawałem w ścisłym związku.

— Tak?...

— Pełniłem służbę obozową.

Po tej odpowiedzi, sąsiadujący więzień kaszlnął jakimś kaszlem przymusowym, i nagle urwał dalszą rozmowę. Nie zwróciło to uwagi Malińskiego, który z zupełną swobodą zadał koledze jeszcze kilka pytań. Odpowiedzi nie było; Maliński jeszcze raz zapytał, lecz i to nie pomogło, począł więc pukać do ściany. Głuche milczenie nocy było niemą odpowiedzią na zapytanie Malińskiego.

W tejże niemal chwili, przeraźliwe „słuszaj“ dało się słyszeć tuż pod oknem więziennej kaźni. Złowrogie myśli i przypuszczenia poczęły krążyć po umyśle Malińskiego. Przyszłość jego, a nawet najbliższe jutro było przed nim zakryte gęstą mgłą niewiadomości.

— Co jutro będzie? — znowu pomyślił i westchnął. Poczęło mu się najokropniej roić o Sybirze, o indagacyach, o torturach moskiewskich, o pożegnaniu na zawsze ukochanej ojczyzny i t. d.

Oparł się jedną ręką o wiązkę słomy i dumał. Później silił się zasnąć, ale to było niepodobnem.

Po kwadransie, znowu usłyszał wyzywające trzykrotne pukanie, które jednak w tej godzinie jego posępnych, rozpaczliwych myśli było bardzo miłe i dodało sercu niemało otuchy.

— Jest przynajmniej ktoś, z kim mogę pomówić po bratersku i wylać boleść ciężącą na mojej duszy. Cierpieć wspólnie zawsze jest znośniej, niż samemu.

Przyłożył znowu ucho do blaszanej trąbeczki, i usłyszał:

— Przepraszam kochanego kolegę, że powtórnie go niepokoję o tym czasie, kiedyby może chciał użyć spoczynku.

— Ja nie śpię jeszcze... owszem bardzo mi miło, cóż kolega powie?!

— Ponieważ przed kilku dniami dopiero byłeś aresztowany, zapewne więc przedtem jeszcze słyszałeś o wypadku z Domejką?

— Tak jest, słyszałem, bo całe miasto o tem tylko gadało przed czterema dniami.

— Ja dzisiaj zaledwo o tem się dowiedziałem. Do mego więzienia samotnego naturalnie nie dochodzą żadne wiadomości i nic nie wiem, co się dzieje na bożym świecie. Ale dzisiaj, wzywano mię do indagacyi, byłem w komisyi śledczej i mijając przedpokój przypadkowo usłyszałem, jak żandarmi między sobą rozmawiali o tym wypadku. Jakże to było?

— Ja wiem tyle tylko, co wszyscy. Miało to być w ten sposób, że jakiś młody człowiek żądał u Domejki posłuchania, a gdy takowe otrzymał, poszedł do marszałka i usiłował go przebić sztyletem; lecz nie powiodło mu się to, nie wiem z jakiego powodu, zdołał więc tylko poranić rękę, podobno ma być kilka ciężkich pchnięć. Wreszcie, o tem mówią bardzo rozmaicie.

— Chociażby i tak tylko, to zawsze dobrze... będzie miał nauczkę ten zdrajca. No, no, choć raz przecie zdobyli się na coś energiczniejszego. Czy to z rozkazu komitetu naszego?

— Nie wiem...

— Ja słyszałem... to jest właściwie, ci żandarmi tak mówili, że jakoby Rząd narodowy z Warszawy miał przysłać swoich agentów z poleceniem, aby to wykonali. Czy to prawda?

— Przepraszam kolegę, że w tym względzie nie mogę mu służyć szczegółową wiadomością, ponieważ sam bardzo niedokładnie jestem o tem poinformowanym.

Przez chwilę trwało milczenie.

— No, to dobranoc koledze — rzekł nieznajomy więzień — nie chcę dłużej miłego snu przerywać.

— Dobranoc — odpowiedział Maliński, a trąbeczka wysunęła się napowrót do sąsiada.

Tymczasem ledwie położył głowę na słomie, a słodki sen antychmiast skleił jego powieki. We śnie przedstawiły się Malińskiemu najcudniejsze obrazy. O, cóżby dał za to, gdyby te urocze widma sennej wyobraźni choć w dziesiątej części spełniły się w rzeczywistości. Oddałby połowę życia, — lecz próżno, los snać pozazdrościł mu szczęścia i odmienną przeznaczył dolę.

We śnie młodzieniec znajdował się w gronie tej zacnej rodziny szewców, którą niedawno mieliśmy sposobność widzieć na ulicy Subocz.

Maliński był w słodkiem objęciu swej Wincusi, którą kochał jak anioła, jak jedyne swoje szczęście. Sędziwa staruszka błogosławiła młodej parze, koleżanki Wincusi przywdziały na się świąteczne suknie, upiększyły się w kwiaty i girlandy i towarzyszyły jej do ślubu, który miał się odbyć w parafialnym kościele OO. Bosaków.

Uszczęśliwiony pan młody, usiadł w dorożkę i w licznej asystencyi swoich kolegów podążył do kościoła. Tu zebrało się wiele znajomych i widzów ciekawych, którzy zazdrośnie przypatrywali się szczęściu młodej pary.

Ksiądz odczytał po łacinie modlitwę. Maliński i Wincusia uklękli na kobiercu, podali ręce, aby związano je stułą, zamienili pierścionki.

— Janie Maliński, czy kochasz twą przyszłą małżonkę Wincencyą i przyrzekasz jej wiarę dozgonną, czy dotrzymasz tego przyrzeczenia?

— Tak jest, przyrzekam i dotrzymam.

W tem miejscu skończyły się rozkoszne marzenia naszego więźnia, przerwała je smutna nader rzeczywistość. O, nie ma szczęścia prawdziwego! „Militia est vita hominis super terram.“

Nad ranem, w chwili najprzyjemniejszego snu tego czystej duszy młodzieńca — silnie zakołatano do drzwi więzienia; odwaliły się żelazne rygle — Maliński ocknął się, i ujrzał przed sobą [illegible] kwartalnego, dwóch żandarmów i dwóch moskiewskich oprawców.

— Gdzie jestem!? — zawołał do siebie rozmarzony młodzieniec, a spostrzegłszy, co go otacza, westchnął i rzekł: — Ach, gdzież moje szczęście, które przed chwilą posiadałem! Boże, to były sny tylko!

— Czego panowie chcą odemnie o takiej porze?

Na to odpowiedział kwartalny tonem wysokiej grzeczności:

— Przyszedłem zapytać kawalera, czy nie potrzebuje czego?

— Na miłość boską! co za pytanie? ja potrzebuję wolności! Wypuśćcie mię ztąd, za co mnie tu niewinnego trzymacie?

Niedoświadczony młodzieniec nie był obeznany z moskiewską etykietą, której używają niekiedy w więzieniach dla tem zjadliwszego pastwienia się nad ofiarami.

— Jakkolwiek proszę wierzyć, iż pragnąłbym to jak najszczerzej uczynić — odpowiedział kwartalny — lecz dalibóg, to nie w mojej mocy. Przychodzę z czem innem. Podobno masz narzeczoną?

— O tak, moja droga Wincusia! moje złoto! no i cóż ztąd?

Kwartalny wykonał uśmiech godzien szatańskiego szyderstwa.

— Bardzo pięknie, kawalerze, przynosimy ci prezent, który będzie mógł zastąpić obrączkę twej lubej. Tak, będziesz miał obrączkę.

To mówiąc, zwrócił się do oprawców, i po moskiewsku zawołał do nich:

— Nadieć etamu buntowszczyku kandały, zakawat' jewo(włożyć temu buntownikowi kajdany, okuć go).

Zbóje rzucili się do wykonania rozkazu, i niezadługo biedny nasz młodzieniec miał ręce i nogi obarczone krępującemi aż do krwi i jak ołów ciężącemi żelazami.

Po dopełnieniu tej operacyi kwartalny wyszedł i silnie zatrzasnął drzwi więzienia.

Purpurowe zorze poranku zwiastowały pogodny wschód słońca. Weszło ono, jak zawsze wesołe i piękne. Podług zwyczaju, zanim swój pochód rozpocznie niebieski, chciało opłukać lice w zwierciadlanych niegdyś zdrojach Wilii. Lecz mętna i zapłakana rzeka nic nie odpowiedziała, żadnego nie oddała blasku. Jeden ciekawy promyk bożego słonka zajrzał do kaźni Malińskiego, lecz spotkawszy go — promyk ten pierzchnął.

III.

Nazajutrz po opisanej wczorajszej nocy, od rana panował w komisyi śledczej ruch nadzwyczajny, zapowiadający bieg jakiejś ważnej sprawy. Dyżurujący w przedpokoju żandarmi co moment byli zmuszeni stawać „wa front“ przed przybywającymi lub wychodzącymi z komisyi cywilnymi i wojskowymi dygnitarzami.

W długim korytarzu, poprzedzającym przedpokój, od prawej strony muru tuż przy ścianie, stoi szereg więźniów politycznych; znużeni, wybladli, ledwie ruch życia dający. Przy każdym więźniu po obu stronach stoją żołnierze, z wymierzonymi w piersi bagnetami, i czatują na każde poruszenie ust, każde wejrzenie ócz i każde westchnienie z młodzieńczej piersi polskiej wydobyte. Wszystko to im straszne. O, jakżeby chcieli zrozumieć myśl polską, na wybladłych malującą się rysach więźniów, jakże by chcieli indagować i spisać protokół z uczuć i westchnień i łez niebezpiecznych, ale nie mogą!

Prawie wszyscy więźniowie okuci w kajdanach — niektórzy, a wielu z nich bardzo młodzi, mają łańcuchy na rękach lub na nogach, tylko podług klasyfikacyi mniemanej zbrodni. Patrzcie, to stoją zbrodniarze, do najsurowszych więzień i katuszy przeznaczeni, a obok stróże porządku publicznego!

Ludzie, którzy choć trochę macie Boga w sercu, spojrzyjcie na tych, a na tych, i powiedzcie zdanie bezstronne, którzy winni, a którzy są prawdziwie niewinni. Spojrzyjcie na te szlachetnością samą i inteligencyą promieniejące czoła i osądźcie, bo ja mówić nie mogę, mnie od tego widoku łzą oczy zabiegły.

Jeden z więźniów zasłużył u Moskali na szczególniejszą łaskę, albo jeżeli chcecie, na litość. Więzień ten stoi też przy drzwiach, prowadzących do komisyi śledczej. Jestto czternastoletni chłopak, trochę pyzaty, rumiany, ogorzały, co świadczy, że został świeżo pochwycony z pola bitwy. Czuła matula wykarmiła to dziecię tucznemi żmudzkiemi kluskami, ale obok pieszczot macierzyńskich, zaszczepiła w jego zacne serce poczciwą miłość ojczyzny, i wyprawiła jedynaka do boju.

Takiemu dziecku wkładać kajdany... nie... Moskal litościwy, on tego nie zrobi. Przy Żmudzinku, stoi jeden tylko żołnierz i to jakiś niezbyt czujny inwalid; chłopak ten nie ma wcale kajdan,bo by ich udźwignąć nie zdołał — powrozami wszakże tak go skrępowano, że nie może ani się ruszyć. Jestto mała próbka moskiewskiego liberalizmu, moskiewskich ustępstw.

Miejsce posiedzeń komisyi śledczej było w obszernej sali, znajdującej się zaraz za przedpokojem. Na ścianach wisiały w porządku chronologicznym portrety wszystkich carów moskiewskich zacząwszy od Piotra W.,. tego pierwszego reformatora Moskwy. Były tam popiersia Katarzyny II., Pawła I., Elżbiety, Mikołaja i t. d. Katarzyna w balowym stroju, z wachlarzem w ręku, z wolterowskim uśmiechem na ustach, upudrowana i ubrana według francuskiej mody w końcu ośmnastego wieku. Piotr w bojarskim, zielono-aksamitnym jarmiaku, bez korony, z odkrytą głową, z której długie i gęste czarne kędziory, uczesane według zwyczaju popów moskiewskich — spadały mu aż na ramiona. W twarzy żadnego wyrazu, oczy szklanne, nic nie mówiące, tylko silnie zbudowane barki świadczą o sile fizycznej tego człowieka, zresztą żadnych cech charakterystycznych. Przypatrując się tej prostackiej fizyognomii, trzeba się dziwić, że Piotr, robiąc okręty w Holandyi, w charakterze zwykłego robotnika, nie był przez nikogo poznanym. Paweł o siwych wystających z pod trójkątowego kapelusza włosach, z nosem zadartym do góry, z czerwoną przepaską i z potężnej wielkości gwiazdą orderową. W tej twarzy, lubo również nieodznaczającej się niczem, co by cechowało jakąś wyższość — maluje się jednak większa niż u innych poczciwość i dobroć. Mikołaja także było tylko popiersie. Uniform na nim opięty i krępujący, jak jego rządy. Brwi silnie zmarszczone, wejrzenie niezmiernie groźne i imponujące. Nie trzeba się pytać, czyj to portret, dość tylko spojrzeć, a każdy powie: to Mikołaj, despota.

Portret cara Aleksandra II., zdjęty w całej osobie, znajduje się przy osobnej ścianie, szerokości znacznej — długością sięga od podłogi do sufitu. Przy oknach, z lewej strony od wejścia, stoi duży stół zielonem suknem pokryty; przy nim kilka skórzanych, wytartych fotelów. Stół, ustawiony w ten sposób, w stosunku do portretu Aleksandra, że siedzący na fotelu może bez wielkiego utrudzenia zwrócić się do portretu i wskazać ręką najprzód cara, a później stojący na stole krucyfiks — który z obrazą boską postawiono w tem miejscu tortur i zbrodni. Wybiła dziesiąta rano, kilku cywilnych i wojskowych urzędników weszło do sali i zajęło przeznaczone sobie miejsca. Przewodniczący zadzwonił i wszyscy jak snopy żyta głęboki oddali pokłon portretowi panującego cara.

— Gaspada, naczynajem zasiedanie (panowie, rozpoczynamy posiedzenie) — rzekł przewodniczy.

Poczem, zwracając się do jednego z niższych czynowników, dokończył:

— Niech przyprowadzą tego więźnia.

Po chwili wszedł pod strażą dwóch żołnierzy, okuty w kajdany młody, jasnowłosy więzień.

— Pójdź tu — rzekł prezes.

Więzień zbliżył się do stołu i stanął przed krucyfiksem.

— Protokolista, zapisuj, co on będzie mówić, a później ułoż to w stósowne do rzeczy zeznanie.

— Jak się nazywasz?

— Jan Maliński.

— Ile masz lat?

— Dziewiętnaście.

— Gdzieś się urodził?

— Tu, w Wilnie.

— Jakiego wyznania?

— Katolik, należę do parafii świętojańskiej.

— O to się nie pytam, odpowiadaj na pytania. Czy rodziców masz?

— Ojciec dawno już umarł, a matka w przeszłym roku.

— Więc nie masz. Jakie było zatrudnienie rodziców?

— Mój ś. p. ojciec był urzędnikiem przy gubernialnej izbie cywilnej, a matka nieboszczka była córką szwaczki.

— Dobrze. Czy byłeś w szkołach?

— Skończyłem w przeszłym roku siedm klas w tutejszem gimnazyum.

— A później?

— Później, ponieważ dostałem złoty medal i świadectwo, dające mi prawo wstąpić do uniwersytetu bez egzaminu — chciałem udać się do Moskwy i zapisać się tam na wydział matematyczny.

— Ale?

(Ciąg dalszy nastąpi.)





PAŁAC I TEATR.

Powieść z angielskiego.

6) Tłom. **S. P.**

(Ciąg dalszy).

— Ja? Zkąd? Jakim sposobem?

— Czy te róże nie od pana pochodzą?

— Żałuję, że szczerość zaprzeczyć mi to każe, — odpowiedział smutnie. Nie mógł sobie darować, że nie przyszło mu nawet na myśl uprzyjemnić jej podróż taką drobnostką!

— Więc pan mi ich nie przysłałeś? — zawołała. — W takim razie byłam ci najniesłuszniej w świecie wdzięczną przez cały dzień! Te róże tyle mi sprawiły przyjemności! Przyznaj się pan — tyś mi je darował!

— Przysięgam pani, że nie! — rzekł Keith zrozpaczony. —

— Kto przyniósł ten bukiet? Znalazłam go na stole w salonie. Służący powiedział mi, że został przysłany pod moim adresem.

Robert Keith nie posiadał się z gniewu. Milczał już, i usta przygryzł aż do krwi nieomal.

— Ktokolwiek przysłał mi róże, — mówiła Nora dalej, podnosząc je pieszczotliwie do ust, — wdzięczną mu jestem za nie! Ten ktoś znał widocznie moje upodobanie. Z wszystkich kwiatów najwięcej lubię róże!

Robert przeklinał w duszy nieznajomego dawcę. Czy on sam, który pragnął odgadnąć każde jej życzenie, nie powinien był wiedzieć, że Nora lubi róże? Dlaczego pozwolił się innemu uprzedzić?

— Jakie tam dziwne towarzystwo, — rzekł nagle, usiłując skończyć niemiłą mu rozmowę o kwiatach. — Patrz pani, zdaleka już poznać, czem są ci ludzie! Zawód, któremu się poświęcają, aż nadto wyraźnem naznaczył ich piętnem!

— O kim pan mówisz? — spytała niedbale, zmęczona długiem czekaniem, gorącem i hałasem, jaki na peronie zapanował.

— O ludziach, stojących na lewo od licznych kufrów, w których wieziesz pani brudne rękawiczki, zmięte suknie i zwiędłe kwiaty, jako jedyne pozostałości po londyńskim sezonie, — odrzekł z uśmiechem. — Czy widzisz ich teraz, miss Hatton? Czterech mężczyzn i trzy kobiety!

Nora podniosła oczy, patrząc na wskazane osoby z pogardliwą obojętnością. Istoty tak skromnie ubrane nie zasługiwały na jej uwagę.

— Jakiemu się oni poświęcają zawodowi? — dodała.

— Są to aktorzy. Nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Nie widzisz pani tego? Ale skąd pani masz wiedzieć, jak oni we dnie wyglądają! Jest to świat zupełnie inny — świat, z jakim pani żadnej nie miałaś i mieć nie będziesz styczności!

— Powiedz mi pan więc, poczem można ich tak zaraz poznać? — szepnęła bezdźwięcznym nieco głosem.

— Ależ to poznać na pierwszy rzut oka!

— Wierzę, powiedz mi pan tylko, czemu! Nie przypuszczałam dotąd nigdy, że artyści dramatyczni różnią się wogóle czemś od zwykłych śmiertelników. Ile razy spotykałam w parku panią Bancroft lub pannę Terry, zdawało mi się zawsze, że wyglądają tak, jak wszystkie inne ładne kobiety i że o wiele ładniej są ubrane, niż niejedna z naszych pań!

— Uwaga moja nie odnosiła się też wcale do znanych gwiazd teatralnych. Panie Bankroft i Terry to nie zwykłe już artystki — to są kobiety piękne, mające sławę europejską. Ja miałem na myśli drugo i trzeciorzędnych aktorów, jeżdżących mianowicie po miastach prowincyonalnych!

— Ah! — zawołała Nora, przyciskając róże do twarzy, aby zakryć nagły rumieniec, — więc na prowincyi tylko podrzędni grywają artyści? Nie jest to sąd zbyt dla nich pochlebny!

— Na „gwiazdy“ tylko stolice zdobyć się mogą! Zresztą nie przeczę — istnieją wyjątki — widziałem sam w Teatrze królewskim tu w Stourton artystę dramatycznego, któryby śmiało mógł występować obok pani Brancroft i panny Terry.

— Więc i teatr istnieje tutaj?

— Dwa nawet! Jeden mieści się w bardzo ładnym, obszernym gmachu!

— Nie powiedziałeś mi pan jednak, po czem poznajesz drugorzędnych aktorów, — odezwała się Nora po chwili.

— Zbliżamy się właśnie do nich! Zechciej spojrzyć na nich, miss Hatton, a przekonasz się sama!

— Ależ ja rzeczywiście żadnej pomiędzy nimi a innymi ludźmi nie widzę różnicy, — odrzekła niecierpliwie.

— W takim razie spojrzałaś pani zbyt przelotnie na nich! Patrz na ubranie tych kobiet! Jak włosy ich niedbale ułożone! Czy nie zdaje się pani, że znużone ciągłem ubieraniem się na scenę, w życiu codziennem mniej na swoją zważają powierzchowność? Mężczyźni są nieco staranniejsi, chociaż i oni golenie się odkładają widocznie zawsze do przyszłego występu!

— Czy my tu całą noc przepędzimy? — zawołała Nora rozgniewana. — Tn czekanie zaczyna być nieznośnem!

— Zmęczona pani? — zapytał troskliwie, a spojrzawszy na twarz jej dziwnie zmienioną, zawołał przestraszony:

— Jak pani zbladłaś! Czy ci niedobrze? Pozwól pani...

— Nie, nie, nic mi nie jest, gniewa mnie tylko to czekanie. Nie lubię zwracać uwagi na siebie — nie lubię, gdy na mnie ludzie patrzą...

— Wszakże i my patrzymy na ludzi, — roześmiał się Keith. — Odpłacają nam pięknem za nadobne!

— Wątpię, — rzekła, wzruszając ramionami. — Nie spojrzałam nawet na nich!

— Dziwna rzecz! A mnie się zdawało, że mówiłaś pani o nich przed chwilą, — żartował złośliwie. — Było to tem więcej usprawiedliwionem, że obok dwóch ładnych kobiet znajduje się tam niezwykle przystojny mężczyzna. Ale otóż i pociąg nadchodzi, nasi aktorzy czekają zapewne na niego.

Lokomotywa świsnęła w tej chwili, buchający parą kolos wjechał z szumem i hałasem pod szklany dach i stanął. Na peronie powstał gwar i zgiełk, podróżni biegli do wagonów, szukali kufrów, ręcznych pakunków — każdy krzyczał, spieszył się — jak zwykle podróżni w małych miastach.

Artyści dramatyczni podbiegli także ku pociągowi mijając raz jeszcze Norę, której usta skrzywiły się pogardliwie na widok tych kobiet, pospolicie ubranych, a przykuwających jednak dziwnym jakimś czarem do siebie oczy bogatej arystokratki.

— Gdzie Desmond? — zawołał nagle jeden z aktorów, zatrzymując się tuż obok Nory. — Gdzie on się podział? Gotów się jeszcze spóźnić!

— Poszedł do sali, — odrzekła czarnowłosa „dramatyczna“, mijając szybko Norę.

— Ah, otóż i on!

Pociąg był tak przepełniony, że trudno było o zdobycie miejsca, lord Keith zatem, widząc, że jakaś stara kobieta nie może dać sobie rady, pobiegł naprzód aby się wystarać dla niej o miejsce. Nora została na chwilę sama. Stała, nie ruszając się i tylko różami zasłaniała część twarzy, lecz że ręka jej drżała, czy że róże za luźno były związane — dosyć, że nagle spadły wszystkie na ziemię, prosto pod koła pociągu. Równocześnie zbliżył się jakiś wysoki mężczyzna w podróżnem ubraniu, schylił się, podniósł kwiaty i podał je Norze. Oczy ich spotkały się na chwilę, lecz Nora, szepnąwszy kilka słów podziękowania, szybko się cofnęła.

Młody aktor szukający poprzednio Desmonda schwycił go teraz za rękę.

— Spiesz się Geraldzie! — zawołał — pociąg odchodzi, a któżby dziś zamiast ciebie miał grać w Blackbridge Hamleta?

— Nie spóźnię się! — brzmiała spokojna odpowiedź Geralda. — Jesteście wszyscy razem? Dobrze — siadajmy!

I nie spojrzawszy już nawet w stronę wytwornej damy, której kwiaty podniósł przed chwilą, wskoczył do wagonu.

Gdy zaraz potem wrócił lord Keith, znalazł Norę dziwnie zmienioną i milczącą. Na troskliwe pytanie, czy jej się co stało, podniosła na niego oczy i patrzała tak, jak gdyby nie zrozumiała słów jego. Ale zapanowała wnet nad swojem wzruszeniem i dosyć odpowiedziała spokojnie:

— Nic mi nie jest. Jestem tylko zmęczona.

W tejże chwili zbliżył się sekretarz lorda Elsdale, Hobson, z oznajmieniem, że kareta zajechała.

— Dzięki Bogu! Nareszcie! — szepnęła Nora.

Prowadząc ją do powozu, czuł lord Keith, że drżała silnie, lecz nie śmiał już męczyć jej dalszemi pytaniami.

Wypadek jakiś z końmi opóźnił przybycie parowozów. Stangret uniewinniał się, tłumaczył i lord Elsdale uznał sam, że nie można było prędzej przyjechać. Ale Nora nie słuchała już wcale opowiadania stangreta. Blada, znużona, siedziała z głową opartą na aksamitnych poduszkach i przymknęła oczy.

Lord Keith pochylił się ku niej.

— Pozwolisz mi pani — szepnął, — zapytać się jutro, czy ci dzisiejsze zmęczenie nie zaszkodziło?

— Owszem, proszę, — rzekła obojętnie, lecz widząc zasmuconą twarz młodzieńca, dodała szybko:

— Będziemy czekać na pana z herbatą! Do widzenia!

— Gdzie twoje kwiaty? — zapytał lord Elsdale w chwili, w której konie ruszyć miały.

— Nie wiem. Musiałam je zgubić. Ale to nic nie szkodzi. Były już zwiędłe zupełnie!

Była teraz już spokojną jak zwykle i uśmiechała się uprzejmie. Rzuciła róże pod koła pociągu, albowiem bogactwem kolorów i upajającą wonią przypominały jej wszystko, o czem zapomnieć pragnęła. Przeszłość, o której nieraz myślała, stanęła jej tak żywo w pamięci — a ona chciała o niej zapomnieć! Rzuciła ulubione kwiaty z wstrętem, gdyż bezwiedne zmiany, jakie zaszły w jej dumnem sercu, budziły wspomnienia, na które już nie było miejsca w nowem życiu Nory Hatton, bratanki lorda Elsdale!

ROZDZIAŁ VII.

Upał dnia tego zakończył się szaloną w nocy burzą, tak, że gdy Nora schodziła nazajutrz po raz pierwszy z wspaniałych, marmurowych schodów, padał deszcz strumieniem i uderzając o lustrzane szyby w pałacu, spływał po liściach dzikiego wina i kaprifolium, pnących się bujnie na balustradach balkonowych.

Staroświecki zegar w szafce, wybił wpół do jedenastej, gdy przyszła dziedziczka książęcej tej siedziby stanęła w przepysznie urządzonym przedsionku, będącym dawniej salą jadalną. Była to obszerna, wspaniała komnata, na wysmukłych wsparta filarach, o doskonale malowanym suficie i kolorowych szybach, rzucających różne światła na zbroje, porozwieszane artystycznie na ścianach i na starożytne rzeźbione herby, umieszczone wzdłuż ścian. Były tu prastare szafy i wysokie krzesła, o pokryciach z skóry kordubańskiej, i bronzu, godne komnat królewskich. Dziś, na uczczenie powrotu lorda Elsdale i jego bratanki przybrano tu wszystko najpiękniejszemi kwiatami, na jakie cieplarnie pałacowe zdobyć się mogły.

Po źle spędzonej nocy wstała Nora zmęczona i niewyspana. Poważna, w stylu królowej Elżbiety, urządzona sypialnia, tak bardzo odmienna od błękitnego gniazdka, jakie stryj urządził dla niej w Londynie, przerażała ją, a grzmot i huk piorunów zasnąć jej nie pozwalały. Weszła też do jadalni blada, z uczuciem pewnego niezadowolenia, lecz na widok wspaniałego urządzenia pałacu, zaczęła się zachmurzona twarz jej zwolna rozjaśniać.

Patrzała na wszystko okiem prawdziwego znawcy i czuła się dumną, że skarby, nagromadzone tutaj, do niej wyłącznie należeć będą, a myśl ta przytłumiła na nowo wszelkie wspomnienia przeszłości, tak nie w porę wczoraj wywołane!

Przez całe dwa lata obwoził lord Elsdale bratankę po Europie. Potem została Nora przedstawioną na dworze i wprowadzoną w najpierwsze towarzystwo w stolicy. Młoda i bardzo piękna, zajęła w niem natychmiast wybitne stanowisko — mężczyźni składali jej hołdy, kobiety naśladowały jej stroje i tak stała się Nora niezaprzeczenie królową sezonu.

Marzenia jej zostały urzeczywistnione.

Cień tajemnicy, okrywającej pierwszą młodość pięknej miss Hatton, dodawał jej w tem towarzystwie książąt i lordów większego jeszcze uroku. Piękny, rozrzutny i marnotrawny jej ojciec miał tu jeszcze wielu przyjaciół, znających doskonale jego sprawki przygód miłosnych. Kim była matka Nory — tego nikt wprawdzie nie wiedział, szacunek jednak, jakiego używał lard Elsdale, i wygórowane jego, aż do przesady posunięte zasady arystokratyczne, wystarczały zupełnie, aby bratanka i spadkobierczyni jego majątku, stała wyżej ponad wszelkiemi plotkami i domysłami.

Przyjęta uprzejmie na dworze i przez najwytworniejsze towarzystwo, zapomniała Nora wnet, że życie jej nie

zawsze na książecych upływało salonach. A gdy czasem przyszło jej na myśl, że ona, strojna dziś w koronki i bryljanty, nie tak dawno jeszcze z łaski skromnego żyła aktora, wtedy okrywał śliczną jej twarzyczkę gorący rumieniec wstydu i modre oczy napełniały się łzami gniewu i upokorzenia. I dla tego starała się zatrzeć w swem sercu pamięć tej przeszłości i zagłuszyć sumienie, które się też coraz rzadziej odzywało.

A jednak dzisiejszej nocy nie pozwalało jej zasnąć i niepokoiło ją okrutnie. Płakała i gorżko wyrzucała sobie podłość, popełnioną wczoraj na dworcu. Zaparcie się Geralda przejmowało ją wstrętem dla siebie samej, zwała się nikczemną, niegodziwą — lecz teraz, gdy patrzała na otaczający ją przepych, nie czuła już tak bardzo swej winy. Wstyd nie zmniejszył się wprawdzie, tylko inny przybrał kierunek — żałowała teraz i bolała nad tem, że nie zawsze żyła w pałacu. Zdawało jej się, że pochodzenie matki poniża ją, i gdy dumna i wyniosła wydawała rozkazy pannie służącej, myślała mimowoli o tem, co by powiedziała ta dziewczyna, gdyby wiedziała, że matka jej prostą była aktorką! I to może taką drugorzędną, jak te umalowane i brzydko uczesane kobiety wczoraj na dworcu!

Nie, Nora nie była stworzoną do cichego życia w skromnej willi Geralda, w owem maleńkiem Coltage Rose! Tu strojna w białą powłóczystą kaszmirową suknią, oszytą flamandzkiemi koronkami, tu w wspaniałym pałacu, czuła się w domu !Tu wśród bogactw i przepychu, przechodzącym najśmielsze jej marzenia, mogła śmiało rzucić rękawicę przeszłości.

Gdy stała teraz przy jednej z starych, dębowych szaf, na skórze czarnego niedźwiedzia, biała i piękna jak królewna z baśni, wszedł do przedsionka Hobsorne, sekretarz lorda Elsdale.

— Milord każe uprzedzić panią, — rzekł przytłumionym głosem, — że będzie zajęty aż do południa. Prosi więc, abyś zechciała wezwać panią Fairfax i zwiedziła pod jej przewodnictwem zamek.

— Dziękuję panu, poślę po nią, — odrzekła spokojnie. — Mam nadzieję, że podróż nie zaszkodziła stryjowi?

— Milord jest trochę zmęczony, ale zdrów zupełnie!

Hobson czekał chwilę na odpowiedź Nory, lecz młoda dziewczyna nic już nie miała mu do powiedzenia. Ukłonił się więc i idąc ku drzwiom biblioteki, nacisnął ukrytą wśród rzeźb sprężynę dzwonka, mającego przywołać klucznicę zamkową.

Pani Fairfax, dumna z nagromadzonych w Elsdale skarbów, pokazywała je chętnie; poważna zaś jej postać odpowiadała tak dobrze całemu otoczeniu, że idąc teraz obok Nory wyglądała jak prawdziwa ochmistrzyni dworu młodej królowej.

Gdy minęły kilka wspaniałych salonów, znalazły się w galeryi obrazów, zapełnionej długimi szeregami zmarłych Hattonów. Nora spojrzała przelotnie na twarze groźnych rycerzy i strojnych dam i już chciała iść dalej, gdy uwagę jej zwrócił na siebie portret jasnowłosej, młodziutkiej kobiety w białej atłasowej sukni i koronkowym ślubnym welonie.

— Jaka piękna twarz! — zawołała zachwycona. — Kto to jest?

Pani Fairfax objaśniła ją, że to była pierwsza żona lorda, która urodzenie syna własnem przypłaciła życiem.

— Straszny to musiał być cios dla stryja Normana, — zauważya Nora.

Okropny! Milord odtąd innym stał się człowiekiem! Przez wiele lat nie mógł znieść widoku własnego dziecka, chociaż ono było niewinnem. I uczucie to zmieniło się wtedy dopiero, gdy nieszczęśliwego panicza przyniesiono nieżywego do zamku!

— Ależ to straszne! — szepnęła Nora. — Jakim sposobem umarł tak nagle?

— Przy wykolejeniu się pociągu!

Nora usiadła na kanapę i wskazała krzesło klucznicy.

— Proszę, opowiedz mi to dokładnie, pani Fairfax! — rzekła. — Tak mało znam dzieje naszej rodziny, stryja zaś pytać nie mogę, nie chcąc odświeżać starych ran jego serca. Czy to prawda, że stosunek pomiędzy nim, a synem bardzo by naprężony?

— Przykro powiedzieć, ale tak było, niestety!

— Powodem tego zaś była jakaś wiejska dziewczyna?

— Tak mówiono, ale nie wiejska dziewczyna, tylko...

— Tylko — kto?

— Córka miejscowego nauczyciela.

Nora zmarszczyła ciemne brwi i uśmiechnęła się pogardliwie.

— Czy była bardzo piękna? — spytała.

— Nie, ale dosyć ładna!

— I on się naprawdę w niej zakochał?

— Tak mu się przynajmniej zdawało, — odrzekła stara kobieta niechętnie, pragnąc, aby badanie to, sprawiające jej przykrość, raz się już skończyło. — W każdym razie podobała mu się i lubił ją bardzo.

— Opowiedz mi wszystko, droga pani Fairfax. Tyle już razy pragnęłam usłyszeć tę historyą!

— Nie ma tu wiele do opowiadania, miss Hatton! Młody lord, odsunięty zupełnie od wpływu ojca, dziwnych o świecie nabrał pojęć. Wolnomyślny, szczycił się mianem demokraty i marzył o uszczęśliwieniu i kształceniu ludu. Mając lat dwadzieścia, chciał się żenić z córką nauczyciela szkoły miejskiej, nie myśląc o tem, że małżeństwo takie było wprost niemożliwem. Ale w tym wieku — nie można czegoś innego żądać. Nic jednak dziwnego, że milord rozgniewał się bardzo, i że w gniewie — zbyt silnych może użył wyrazów. Bo milord jest, jak pani wiesz, niezmiernie dumny! Jego pierwsza żona była księżniczką! I syn jego i księżniczki miał się żenić z córką prostego nauczyciela!

Nora zbladła. Jakże w obec tego dumnego rodu musiało być pochodzenie jej matki poniżającem! Czuła się też ogromnie upokorzoną przeświadczeniem, że gdyby nie dziwny i smutny zbieg okoliczności, to hrabia Elsdale nigdyby jej nie był uznał za bratankę córki aktorki i nie byłby jej przyjął do siebie!

— A lord Hatton nie chciał słuchać ojca? — spytała po chwili.

— Co tam zaszło między nimi, tego ani ja, ani nikt w świecie nie wie! Zamknięci w bibliotece, musieli się jednak ogromnie pokłócić, panicz bowiem zjawił się po południu w moim pokoju; oznajmując, że chce się ze mną pożegnać, bo opuszcza zamek na zawsze. Biedny chłopiec — blady był jak ściana i głos tak mu drżał, że ledwie mógł przemawiać. Kochałam go bardzo — sama go przecież wychowałam! I odszedł — a na drugi dzień przyniesiono pod dach ojcowski już tylko trupa — i to tak zmiażdżonego, że ledwie go poznać mogłam!

— O Boże! — szepnęła Nora wzruszona, — to okropne! A może zaszła jaka pomyłka?

— O nie, to niemożliwe! Wyjeżdżając miał na sobie paletot granatowy, czarnem futrem obszyty — był to ostatni podarunek milorda — i w tym paletocie przyniesiono trupa. Miał zresztą przy sobie listy i papiery, stwierdzające aż nadto tożsamość jego osoby.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wśród walki z losem.

30) Wolny przekład z angielskiego przez S. B.

(Ciąg dalszy.)

— Flora nie zobaczy mię nigdy innym, jak dotychczas. Bez miłości zapytałem ją, czy chce zostać moją żoną i bez miłości poprowadzę ją do otarza, zanimbym miał serce jej złamać. Rok dochodzi, gdy się z nią zaręczyłem i zanim drugie dwanaście miesięcy upłyną, zostanę jej mężem.

— I nie będziesz tak często widywał Heleny?

— Dlaczego? — zapytał krótko.

— Chciałżebyś także i ją nieszczęśliwą uczynić?

— Czyż są jakie powody do podobnych obaw?

— Nie, tego nie przypuszczam. Ale, co się nie ukryło przedemną i dla niej długo tajemnicą nie pozostanie.

— Nigdy się ona o tem nie dowie, będę umiał czuwać nad sobą — odpowiedział.

— Ale ty przez wzgląd na siebie samego powinieneś jej unikać.

— Złe zostało już spełnionem. Dlatego przecież, by oszczędzać siebie, nie mogę jak tchórz przed nią uciekać — rzekł stanowczo.

— Tego też wcale na myśli nie miałam, ale na czas pewien musisz się oddalić, w przeciwnym razie...

— Cóż, w przeciwnym razie? — zapytał, gdy urwała nagle.

— Helena i ja wyjedziemy. Dość już ona przecierpiała, by dla twej słabości cierpieć miała na nowo.

— Tak, cierpiała ona dość — powtórzył ze smutkiem.

— Przyznajesz to, a mimo to nie chcesz zaprzestać jej widywać.

— Lecz cóż powie, gdy na raz przestanę bywać. Będzie się wypytywała, będzie się starała dowiedzieć powodów tej zmiany i wreszcie domyśli się wszystkiego, co pod żadnym warunkiem nastąpić nie powinno. Wolałbym, żeby mię nienawidziła, jak przedtem.

— Byłoby to lepiej, aniżeliby cię pokochać miała, ale ona nie zrobi ani jednego, ani drugiego. Uczyń, jak radzę, wyjedź na jakiś czas, to jedyny środek.

Dziwnie słaby i niezdecydowany był dzisiaj ten zazwyczaj tak dzielny i pełen wiary w siebie człowiek, ale gdy ujrzał łzy w oczach matki i rozpaczliwie załamane ręce, zwrócił się do niej i rzekł: Nie przyjdę już więcej.

— Bóg z tobą, mój synu! Wiedziałam to dobrze — rzekła i nachyliwszy się złożyła gorący pocałunek na jego czole.

— Nie przez wzgląd na własny spokój, ale przez wzgląd na ciebie i Helenę — rzekł. — A teraz wymyśl, proszę, jakie mądre kłamstwo. Odbędę podróż na stały ląd, otóż masz gotową wymówkę.

— Wolałabym, żebyś do Hernley pojechał.

— Byłoby to teraz dla mnie czystem niepodobieństwem. Ty matko nie zdołasz pojąć całego ogromu mej miłości dla kobiety. Nikt nie dowie się tego nigdy — dodał zaciskając zęby.

Zamilkli oboje. Wyciągnęła do niego ręce, ale on podniósł się z krzesła usuwając się od jej uścisku.

— Jestem znużony — rzekł z bladym uśmiechem, a ona zrozumiała jego życzenie i wyszła z pokoju, pozostawiając go samego.

Skoro tylko dzień zaświtał, opuścił Walenty progi rodzinne. Zapiąwszy po samą brodę swe lekkie, latowe palto, włożywszy obie ręce w kieszenie spieszył prosto do Londynu z mocnem postanowieniem wytrwania w raz powziętym zamiarze.

Wrzesień był właśnie, gdy do Richmond nadeszła wieść, iż Walenty wyjeżdża na kontynent.

— Wyjeżdża zatem — ozwała się Helena, gdy jej mrs. Merrick podczas śniadania udzieliła tej wiadomości.

— Tak, przecież teraz odpocznie sobie — odpowiedziała mrs. Merrick z udaną wesołością, składając list i chowając go do kieszeni.

— Kiedyż zamierza wyjechać — spytała Helena.

— Jutro.

Nastało dość długie milczenie, podczas którego mrs. Merrick badawczo wpatrywała się w Helenę. Nareszcie przerwała je ta ostatnia.

— W takim razie przyjedzie zapewne pożegnać się z nami — rzekła dość obojętnie.

— Zapewne — odpowiedziała mrs. Merrick tonem niepewnym — jeżeli będzie miał na to dość czasu. Wyjeżdżając w daleką drogę ma się zazwyczaj bardzo wiele do czynienia.

— Tak, to prawda — rzekła Helena.

— Nie dziwiłabym się też wcale, gdyby odjechał nie widząc się z nami.

— Miałby odjechać nie widząc się z nami? — ozwała się Helena tak cichutko, że słowa jej ledwo dosłyszeć było można.

— Tak, toby mię wcale nie zadziwiło.

Po śniadaniu włożyła mrs. Merrick kapelusz na głowę oznajmiwszy, że musi jechać do miasta, by załatwić niektóre sprawunki i była bardzo rada, że Helena nie ofiarowała się towarzyszyć jej, nie życzyła sobie w tej chwili jej obecności. Helena wiedziała to dobrze i łatwo powód tego odgadła; czytała ona w sercu matrony, jak w otwartej księdze, a starania jej, by ją w błąd wprowadzić, były nadto niezręczne, by mogły oszukać bystry umysł Heleny.

Mrs. Merrick w rzeczy samej pojechała do miasta, niedługo jednak zatrzymała się u przekupniów, lecz udała się do Temple, by się z synem pożegnać. Przyjął ją z wylaniem i prawdziwie synowską czułością, ale zauważył u niej pewną wstrzemięźliwość, która wykluczała wszelką możliwość wzmianki o zaszłych w ostatnich czasach faktach. Helena Barklay pojechała także do Londynu, lecz wsiadła do innego przedziału. Przybywszy na miejsce naumyślnie zatrzymała się dłużej w wagonie dopóki mrs. Merrick nie odjechała doróżką do miasta, by ta ostatnia nie zauważyła jej obecności.

Helena nie miała bynajmniej zamiaru śledzenia mrs. Merrick; chcąc prócz tego dać jej czas, by się z synem mogła swobodnie pożegnać, zatrzymała się jeszcze czas pewien

na dworcu, następnie skierowała się wolnym krokiem przez most Waterloo ku wybrzeżu, zatrzymując się raz po raz przy oknach wystawnych i przypatrując się wyłożonym w nich towarom. Dopiero po dłuższym czasie skręciła bocznem przejściem na Fleet-Street i weszła do Temple. Nie miała potrzeby pytać o drogę; szybki rzut oka na poprzylepiane na murach plakaty wskazał jej od razu właściwy kierunek.

Ujrzała przed sobą wielki, ponury gmach, surowy jak sprawiedliwość, której był przybytkiem. Promienie słoneczne nie oświecały wesołem światłem rozległego przysionka i wielkich kamiennych schodów prowadzących na kurytarz pierwszego piętra, gdzie się mieściło biuro adwokata. Stanęła przed drzwiami, na których wielkiemi czarnemi literami stało wypisane: „Mr. Walenty Merrick".

— Mr. Merrick wyszedł właśnie ze swą matką — oznajmił jej blady młodzieniec o długich włosach, którego spotkała na kurytarzu. Spokojnym, urzędowym tonem odpowiedziała, że zaczeka na powrót adwokata. Pisarz wprowadził ją do pokoju swego pryncypała i zadawszy kilka pytań, wyszedł.

Pozostawszy sama, rzuciła okiem po surowem umeblowaniu, spojrzała na tytuły ksiąg poustawianych wielkiemi rzędami na regałach, wzięła do ręki gazetę, chcąc się czemkolwiek zająć, lecz znużona w końcu długiem czekaniem, opuściła bezwładnie ręce i wpatrzyła się nieruchomym wzrokiem w zużyty już nieco kobierzec.

— Powinien już być z powrotem—myślała—nie miał zapewne innego interesu, chciał tylko pewnie odprowadzić matkę na stacyą. — Czekała tak długo, że pisarz, który zajęty swą pracą zapomniał o niej, wszedłszy napowrót do pokoju, cofnął się zdziwiony.

— Przepraszam panią — rzekł — zdaje się być niepewnem, o jakim czasie spodziewać się można powrotu mr. Merricka.

— Przypuszczam jednakże, iż w każdym razie powróci tutaj.

— Powróci w każdym razie, proszę pani.

— Zaczekam więc. Odbyłam daleką drogę, by się z nim widzieć.

Skłonił się i wyszedł. Helena pozostała sama.

Nadszedł wreszcie. Szybko wszedłszy do pokoju stanął na progu, jak wryty, niepewny, czy to sen, czy rzeczywistość. Pisarz oznajmił mu wprawdzie, że jakaś pani czeka na niego w biurze, lecz ani mu przez myśl nie przeszło, że tą osobą mogła być Helena Barklay.

— Pani tutaj? — zawołał pełen najwyższego zdumienia, a zbliżywszy się podał jej rękę na powitanie. Wyglądał mizernie, spostrzegła to od razu, przypuszczać nawet mogła, że chorował od czasu swej ostatniej bytności w Richmond; wypoczynek był mu koniecznie potrzebnym.

— Cieszę się, że panią widzę, ale pani nie powinnaś była przychodzić tutaj — rzekł niepewnym głosem.

— Przyszłam w interesie — odpowiedziała z zupełnym spokojem. — Dowiedziałam się dzisiaj rano od matki pańskiej, iż pan opuszczasz Anglię i pragnęłam przed odjazdem widzieć się z panem.

Spokojna jej postawa oddziałała na niego i wróciła pewność siebie. I lepiej, stokroć lepiej, albowiem nie powinna nigdy dowiedzieć się, ile go kosztowało być dla niej obojętnym.

— No, mrs. Barklay — rzekł — czemże mogę pani służyć?

— Podczas bytności pańskiej w Richmond — mówiła głosem pewnym i spokojnym — mówiliśmy wiele razy o tajemniczym zamiarze mrs. Graves dotyczącym Artura Barklay i mnie. Chciałam wówczas zasięgnąć rady pańskiej. Czy pan to sobie przypominasz?

— I owszem, przypominam sobie bardzo dobrze.

— Gdy pan będziesz miał czas i wolę po temu — jest mi to obojętnem, kiedy — życzyłabym sobie, byś pan przeczyt notes mego zmarłego męża zawierający rozmaite zapiski dotyczące interesów, obrachunki pieniężne i notatki odnoszące się do różnych spraw, a potem raczysz mi pan powiedzieć, co z tego wszystkiego wywnioskowałeś. Przeczytałam sama ten notes i dowiedziałam się, że na kartkach naznaczonych ołówkiem znajduje się wiele razy wzmianka o papierach schowanych w kufrze mrs. Graves. W owym kufrze znajdowały się dokumenta, według wszelkiego prawdopodobieństwa także napisany wkrótce przed jego śmiercią testament, w którym mię, być może, wydziedziczył.

— Cóż upoważnia panią do tego rodzaju przypuszczeń? — rzekł odbierając od niej drobny pakiecik i odwięzując sznurek, którym był związany.

— Nie teraz, proszę, nie teraz — zawołała. — Dość na to będzie czasu, gdy pan wrócisz z podróży, gdy będę daleko od was wszystkich.

— Gdy pani od nas daleko będziesz? — powtórzył zdumiony.

— Tak, i o tem chciałam pomówić z panem — mówiła dalej tym samym miarowym głosem — co tylko tutaj uskutecznić mogę, ponieważ w ostatnim czasie rzadko miałam sposobność widzieć pana. Jak długo będziesz pan nieobecnym?

— Mniej więcej sześć tygodni.

— Po sześciu tygodniach, zatem, mr. Merricku, będziesz pan mógł odwiedzać swą matkę, nie potrzebując obawiać się, że mnie tam spotkasz.

— He...

Wyraz „Heleno" zadrżał na jego ustach, pierwsze głoski wyrwały mu się już bezwiednie, spostrzegł się jednak w sam czas jeszcze i dalsze tony rozpłynęły się tylko w niezrozumiałe dźwięki.

— Nie masz, przecie, zamiaru porzucić mej matki, która ją tak kocha — rzekł gorąco. — Mam nadzieję, że nie zaszło pomiędzy wami nieporozumienie.

— Nie, nie zaszło żadne nieporozumienie.

— Czy wie matka moja o zamiarze pani?

— Nie, nie wie jeszcze dotąd — odpowiedziała tym samym tonem, którego chłód napróżno się starał odgadnąć. — Wkrótce matka pańska i ja porozumiemy się pod tym względem i urządzimy wszystko tak dobrze, że przy Boskiej pomocy pozostaniemy najlepszemi przyjaciółkami dopóki jednej lub drugiej śmierć z tego świata nie zabierze. Gdy pan powrócisz...

— Tak, powiedziałaś to już pani — przerwał jej prawie z gniewem. — Oszczędź mi pani boleści usłyszenia tego powtórnie. Za powrotem nie będę już miał potrzeby obawiać się, iż panią zastanę w domu mej matki. Jestże nieodwołalnem postanowieniem pani?

— Tak jest — odpowiedziała i powstała z krzesła.

Powstał również i stanął przed nią pełen troski i niepokoju, ale starał się pokryć przykre wrażenie, jakie sprawiły na nim jej słowa i całe zachowanie się.

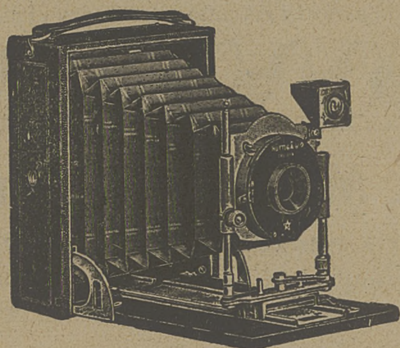
— Nie chcę badać pobudek pańskich — rzekł w końcu. — Lecz, wierz mi pani, działasz zbyt porywczo.

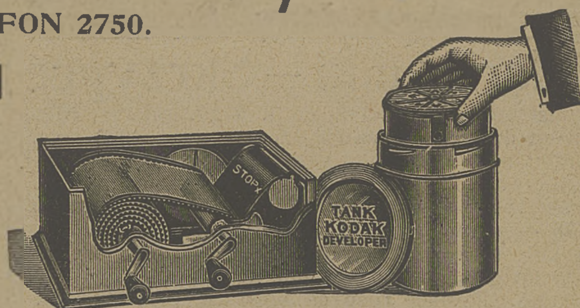
— Wiem, że tak będzie najlepiej.

— Lecz w jakiż sposób mam po mym powrocie zdać pani mą opinię o tej ważnej sprawie? — rzekł biorąc pakiecik i kładąc go napowrót.

(Ciąg dalszy nastąpi.)







Kodaka maszyna do wywoływania film przy świetle dziennem.